Opłata pocztowa uiszczona gotówką

Cena 25 gr.



WOLA i CZYN

CZASOPISMO SPOŁECZNO POLITYCZNE

Wychodzi 5-go i 20-go każdego miesiąca

Rok II. Lwów, dnia 20 kwietnia 1938 r. Nr. 8.

Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Kopernika 42a, tel. 242-86. Konto P. K. O. Nr. 508250

J. Kr.

PARTIE POLITYCZNE NA CENZUROWANYM

Poszła w zapomnienie sroga batalia prasowa na temat totalizmu i demokracji. Skończyła się jeremiada prasy z powodu zagarnięcia Austrii przez Hitlera. Wyczerpał się cykl artykułów, poświęconych stosunkom polsko-litewskim. Zabrakło zbawiennych rad, udzielanych czynnikom tworzącym OZN przez panów z „Czasu" i „Słowa", podtrzymujących swoje oferty do ostatniej niemal chwili. Nawet Cat-Mackiewicz dał spokój — chwilowo, sądzimy, — trapiącej go zmorze naprawiaczy, podejmując się chlubnej choć niewdzięcznej roli inicjatora i rzecznika rozłamu w OZN. Wysoka niedawno temperatura prasy spadła do normalnego poziomu. Na szpaltach pojawiły się znów sprawy drobne, szare, codzienne.

W tej powszedniości tematów, wśród których czytelnik napróżno szukał czegoś bardziej interesującego, pojawiła się dyskusja na temat stary, ale równocześnie wiecznie żywotny i aktualny, na temat roli i znaczenia partyj politycznych. Polemika toczyła się zasadniczo między socjalistycznym „Dziennikiem Ludowym" a „Kurierem Porannym". „Dziennik Ludowy", wierny swojej doktrynie, kruszy kopie w obronie partyj politycznych, „Kurier Poranny" natomiast stara się zbijać, nie zawsze zresztą szczęśliwie, tezy ,stawiane przez oponenta. Dyskusji tej warto się przyjrzeć bliżej. Ma ona znaczenie zasadnicze. Należyte, trzeźwe rozpatrzenie roli partyj politycznych pozwoli nam na zrewidowanie dotychczasowych pojęć. Rewizja taka jest co pewien czas konieczna, jeżeli nie chcemy skostnieć w dogmatyźmie pojęć, w gruncie rzeczy dość płynnych i zmiennych. Okaże się może, że niejedna siła oparta jest w istocie na kruchych podstawach, że niejedną wielkość trzeba ściągnąć z piedestału, dotychczas prawem tradycji czy prawem kaduka zajmowanego.

Nie chcąc zmieniać zdania polemizujących ze sobą dzienników, przytoczymy w oryginalnym sformułowaniu charakterystyczniejsze wyjątki z tej dyskusji.

„Partie — pisze „Dziennik Ludowy" — są narzędziem działania, którym posługują się cywilizowane społeczeństwa. Dawniej rody lub hordy, związane węzłami krwi, były platformą współdziałania, potem zaczęły wyrastać kliki, polegające na wspólności interesów i dopiero dzięki partiom zdobyty został wyższy poziom współdziałania, polegający na wspólnocie ideowej i organizacyjnej. W partii jednostka nie tracąc swej indywidualności, staje się aktywnym członkiem społeczeństwa. Wspólność ogólnej linii nie wyklucza odmienności poglądów w kwestiach specjalnych, które rozstrzyga się w sposób demokratyczny, na zebraniach i kongresach, w prasie, drogą dyskusji i głosowania. Jednostka staje się członkiem zbiorowości i w jej ramach rozwiązuje i realizuje ogólne problemy i programy".

Wygłosiwszy tę pochwałę partii, zastanawia się „Dziennik Ludowy" coby było, gdyby partie uległy zniszczeniu.

„Rozbicie partii — pisze — w imię mętnych bredzeń i ponadpartyjnej solidarności, elicie, równa się niszczeniu wypróbowanych narzędzi, usuwaniu kompetentnych i wypróbowanych organizacji i działaczy na rzecz klik i band, nie związanych niczym, poza stosowaniem się do koniunktury i łowieniem korzyści, unoszących się na mętnych jej falach... Ponadpartyjnictwo, to cofanie się wstecz, które można by porównać do napadu szaleństwa, na mocy którego ludzie chcieliby przestać być tym, czym są i zaczęli włazić na drzewa, aby naśladować swoich małpich przodków".



Nadzwyczajne Okręgowe Zgromadzenie Delegatów Związku Legionistów Polskich we Lwowie, w dniu 10. IV. 1938 r.
(W pierwszym rzędzie od lewej: Prezes Moszoro, dyr. P. K. P. Grosser, płk. Nowak, płk. inż. Fijałkowski, prezes okręgu dr. Wojciechowski, wojew. dr. Biłyk i starosta grodzki Porębalski).

„Kurier Poranny", polemizując z tymi wywodami, słusznie zaznacza, że „nie wszystko, czym posługują się cywilizowane społeczeństwa powinno znajdować uznanie przynajmniej w oczach partii bądź co bądź socjalistycznej" i dodaje, że błąd „Dziennika Ludowego" polega na przyjmowaniu obecnego stanu rzeczy „za ostateczny wyraz mądrości ludzkiej, za ostatni wyraz cywilizacji, za nienaruszalne tabu i w tej swojej reakcyjnej i konserwatywnej postawie jest ogromnie beznadziejny".

Nie można odmówić racji „Kurierowi Porannemu", gdy twierdzi, że „ustrój partyjny stwarza — przy wszystkich zewnętrznych pozorach, ale tylko pozorach — znakomite żerowisko dla działalności różnych klik i kliczek, które uprawiają swój proceder w życiu publicznym pod różnymi czystymi auspicjami i równoczesnym nadużywaniu zaufania społeczeństwa."

Faktem jest również, że często „sztaby partyjne są wzorowymi klikami, które pilnują interesów tzw. partyjnych, ale w gruncie rzeczy streszczających się w osobistych ambicjach działaczy, przewódców i leaderów partyj" i że „partie nie dają siły współczesnym państwom właśnie dlatego, że są klikami". Z tego też powodu „Kurier Poranny "nie należy „do zwolenników formy organizowania społeczeństwa w partie, uważając ją za przestarzałą i szkodliwą" i dodaje, że chciałby „usłyszeć argumenty, w imię których niektórzy walczą o tę formę".

My zaś chcielibyśmy dowiedzieć się jasno, jak sobie „Kurier Poranny" wyobraża organizację społeczeństwa. Tego niestety „Kurier Poranny" nie powiedział. Artykuł polemiczny został

utrzymany w formie negacji, bez postawienia pozytywnych założeń, bez sprecyzowania jasno swojej recepty.

Nie zamierzamy bynajmniej bronić dzisiejszych partyj politycznych. Podkreślamy dzisiejszych, w takiej formie, w jakiej są obecnie. Nie znaczy to jednak, że system, w którym dostrzegło się wady, należy bezwzględnie porzucić. To nas może skłonić tylko do rewizji pojęć i reformy systemu.

Partie dzisiejsze posiadają wady. Potrzebują reform. Można powiedzieć, oparłszy się na doświadczeniach Francji, że ta forma demokracji, jaką przekazał nam koniec 19-go w. jako nienaruszalną zasadę, nie wytrzymuje próby życia. Doktryny w życiu ortodoksyjnie stosować nie można, bo doktryna jest czynnikiem statycznym, a życie elementem dynamicznym.

Nie ulega wątpliwości, że partia zacieśnia horyzont jednostki, wychowując ją tylko w pewnym kierunku. To prowadzi w konsekwencji nieraz do takich absurdów, że partia staje się zespołem wybranych, zazdrośnie strzegących swoich opłotków, by żaden czynnik niepowołany tam się nie dostał. Wystarczy np. przeczytać serię artykułów kierownika „Wici" p. Niećki, by dojść do przekonania, że p. Niećko chciałby zrobić z „Wici" ściśle zamkniętą kastę, broniącą się wszelkimi siłami przed „shańbieniem rasy" w formie porozumienia się z innymi chłopskimi organizacjami młodzieżowymi. Takich przykładów możnaby przytoczyć trochę więcej.

Powstanie partyj politycznych spowodowały warunki życia i te warunki zapewnią im prawdopodobnie jeszcze dłuższy żywot. Partie są potrzebne. Pozwalają na swobodne wypowiadanie swoich przekonań i są wykładnikiem opinii społeczeństwa. Będą one zapewne istnieć tak długo, jak długo w społeczeństwie będą dysproporcje socjalne, czy polityczne. Z tym trzeba się pogodzić. Tego nie zmieni nawet totalizm, który może jedynie działalność partyj unieruchomić na pewien czas, czy zgleichszaltować. Chodzi tylko o to, by partie nie zasklepiały się w swoim dogmatyźmie, w swoich podwórkowych interesach, a miały na uwadze to, — co powinno i musi być naczelną zasadą: **dobro państwa.**

Ta zasada musi być tym biegunem magnetycznym, według którego orientują się kompasy żeglujących partyj politycznych. Ta zasada stanowi dla nas probierz oceny istnienia i działania partyj politycznych. Tę zasadę postawił jako dogmat Twórca Wolnej Polski i człowiek partii zarazem Marszałek Piłsudski, gdy wysiadł z czerwonego tramwaju na przystanku Niepodległość. Rozumiał, że tabor polityczny Polski składa się nie tylko z czerwonych tramwajów. A niepodległość i potęga Polski jest tym punktem zbornym, do którego wszystkie partie prowadzić muszą.

—o—

Skąd czerpią Ukraińcy fundusze na gospodarcze i polityczne cele

Tłumaczenie art. K. Hanasiewicza z „Ruskiego Hołosu" z 10. IV 1938 r.

Zamieszczając tłumaczenie artykułu K. Hanasiewicza pragniemy zwrócić uwagę społeczeństwa polskiego i czynników do tego powołanych — na to, że w dotychczasowym rozdzielaniu funduszów na cele ukraińskie brak jest należytej kontroli. Fundusze płyną z różnych źródeł i trafiają często do rąk niepowołanych. Zapobiec temu można i trzeba przez scentralizowanie udzielania pomocy finansowej, przy równoczesnej kontroli kto i na jakie rzeczywiste cele z tego korzysta.

REDAKCJA.

Działacze ukraińscy i publicyści przedstawiają budzenie się ruchu ruskiego jako sztuczny wytwór, uruchomiony cudzymi siłami i dla cudzych celów. Tak twierdzi uparcie prasa ukraińska. Tak sprawę przedstawiają działacze ukraińscy w zetknięciu się z polskimi czynnikami decydującymi. Nad wszczepieniem w ten sposób pojęcia sprawy wśród społeczeństwa polskiego pracują usilnie w szczególności ukraiński publicysta i redaktor głównego czasopisma „Diło" p. Iwan Kedryn-Rudnicki. Na łamach dziennika polskiego, nie krępowany żadnymi zasadami przyzwoitości, daje swobodę swojej chorobliwej nienawiści ku Rusinom, zdradzając objawy niepoczytalności, do tego stopnia, że u czytelnika budzi odrazę i niesmak.

Tendencyjność i złoba ukraińskich ataków na ludność ruską tak oczywista, że nagonki te uważa się za patologiczne.

Taki stan rzeczy wywołuje konieczność polemizowania z nimi.

Zamiast tego zapoznamy czytelnika z finansowymi źródłami „siły i potęgi" ruchu ukraińskiego, aby naocznie wykazać, że Ukraińcy zarzucają Rusinom to, co w rzeczywistości odnosi się do nich.

SUBWENCJE CERKIEWNE.

Pisaliśmy już na łamach czasopism „Zemla i Wola" i „Ruski Hołos", że społeczeństwo ukraińskie czerpie na swoje cele środki z funduszu uzyskanego ze sprzedaży ziem cerkiewnych. W szczególności — na prasę: czasopismo „Diło", którego **zobowiązania**, przy funduszu zapasowym i udziałach 13.000 zł, **wynoszą kwotę 224.000** (bilans 31. grudnia 1935 r.). „Diło" organ UNDO i czasopismo, w którym władze cerkiewne pomieszczają swoje ogłoszenia (Nr. 18. ze stycznia r. b. .... o uroczystościach Jordanu).

W odpowiedzi na artykuł o niewłaściwej gospodarce funduszami cerkiewnymi „Diło" oświadczyło, że twierdzenia te są kłamstwem i oszczerstwem i że „Diło" pociągnie autora do odpowiedzialności sądowej. Groźby swej „Diło" nie wykonało, a autor sam, celem wyświetlenia sprawy, zaskarżył „Diło" za zniesławienie. Sprawę rozpatrywał Sąd Okręgowy we Lwowie, który zasądził odpowiedzialnego redaktora „Diło" na karę grzywny w wysokości 50 zł z obowiązkiem ogłoszenia wyroku w gaz. „Diło", zasądzając koszty za wniesienie skargi zł 6.60, a koszty sądowe zł 30.—.

„Diło" zapowiedziało wniesienie apelacji, jednak tego nie uczyniło, wskutek czego wyrok stał się prawomocnym.

11-go lutego r. b. wydawnictwo „Diło" zaproponowało autorowi zrezygnować z opublikowania prawomocnego wyroku w „Dilo", w zamian za co było gotowe ofiarować 100 zł na cele **ruskie, (a nie ukraińskie).** Propozycji tej nie przyjął oskarżyciel prywatny, uważając ją za nieetyczną. Również nie odniosła sukcesu osobista interwencja w tej sprawie jednego z członków Dyrekcji wydawnictwa „Diło" w miesiącu marcu b. r.

O gospodarce funduszem cerkiewnym mówiono również w Sejmie, a ukr. reprezentacja parlamentarna potwierdziła faktyczny stan rzeczy („Diło" z 6. II. 1938 r., odpowiedź posła W. Celewicza). Poseł Celewicz, członek rady przy administracji Ruskiego domu Narodnego we Lwowie (!) między innymi oświadczył z trybuny parlamentarnej:

„Pieniądze uzyskane ze sprzedaży dóbr cerkiewnych tworzą kapitał nienaruszalny Cerkwi i odpowiednio do tego są administrowane. Prawda — metr. Szeptycki włożył część kapitału uzyskanego ze sprzedaży ziem w akcje Ukr. Banku Ziemskiego. Prócz tego nie jest tajemnicą, że metropolita ofiarował większe sumy na cele kulturalne i humanitarne ukraińskiej nacji".

Z tego autorytatywnego oświadczenia dowiadujemy się, że metropolita w rzeczywistości finansował i finansuje ruch ukraiński, a o „nienaruszalności" funduszu cerkiewnego p. Celewicz mówił, rzecz oczywista, dla zamydlenia oczu. Jako prawnik, musi niewątpliwie on wiedzieć, że kurs akcyj waha się i dlatego nie należy lokować kapitału w akcjach; wiadomym jest p. Celewiczowi również, że żelaznego nienaruszalnego funduszu nie wolno ofiarowywać na żadne cele. O tym wiedzą zresztą i nie prawnicy.

Wskazywaliśmy już niejednokrotnie na wielkie straty funduszu cerkiewnego z powodu spadku kursu, papierów wartościowych „Ukr. Banku Ziemskiego" oraz spadku kursu dolarów.

Za te straty milionowe odpowiada nikt inny jak tylko metr. Szeptycki wraz ze swoimi doradcami.

Artykuł nasz miał swój rezultat. Przedstawiciele ruskiego gr. kat. społeczeństwa będą domagali się od rzymskiej Komisji Rewizyjnej, której obowiązkiem jest przeprowadzić dokładną rewizję administrowania funduszem cerkiewnym, kollektywnej odpowiedzialności i zwrotu pokrycia strat. W międzyczasie biskup Grzegorz Stanisławowski wytoczył proces Ukraiń. Bankowi Ziemskiemu o 2 miliony zł, co pociągnęło za sobą natychmiastową zapłatę kosztów sądowych w wysokości 22.000 zł, a biskup Jozafat Przemyski zażądał od Ukr. Szczadnyci w Przemyślu zwrotu wkładki zł 1,000.000.

Zresztą na gospodarkę kapitału uzyskanego ze sprzedaży ziem cerkiewnych patrzą okiem krytycznym również i wyższe władze cerkiewne, nie wyłączając Mons. nuncjusza Kortesi.

Z subwencji funduszu cerkiewnego korzysta T-wo T. Szewczenki (ośw. posła Celewicza) i około 13 ukraińskich gazet, jak „Meta", „Prawda", „Ukraińskie Junactwo", „Nedila", „Świt Detyny", „Ukraińskij Beskid" i inne. Niektóre drobne wydawnictwa otrzymują czasowe subwencje w różnych formach. Księżom potrącają za prenumeratę z poborów, zdarza się i za kilka egzemplarzy... Niektóre wydania księża obowiązani są prenumerować dla swoich parafian (wiernych) za pieniądze z „skarbony" cerkiewnej.

Na kondekanalnych zebraniach zbierają składki na różne cele ukraińskie. Ofiary te mają faktycznie charakter przymusowy.

I tak, fakt że ruch ukraiński, w szczególności w dziedzinie ekonomicznej i politycznej jest finansowany z funduszu cerkiewnego nie podlega wątpliwości. Moralną odpowiedzialność za to, jakie to będzie miało skutki dla Cerkwi ponoszą tacy działacze jak p. Celewicz i dr Baran, którzy propagowali to słowem i czynem np. artykuł „Zamrożenie funduszu cerkiewnego i narodowego" (patrz Nr. 217 „Diło" z 1937 r, artykuł Dr S. Barana pod takim nagłówkiem).

II. DALSZE SUBWENCJE.

Oprócz cerkiewnych „Ukraińcy" korzystają jeszcze z subwencyj państwowych, komunalnych i zagranicznych.

Z państwowych funduszów korzystają periodycznie lub jednorazowo: T-wo im. T. Szewczenko (każdego roku) zł 15.000, szkoła gospodarcza przy T-wie „Proświta" zł 2.000, szkoła przy „Proświcie" w Miłowani — zł 7.000, wiejskie kursy gospodarcze p. Łuckiego w Janczynie zł 1.500 z Izby Rolniczej, „Silskyj Hospodar" 30.000 z Funduszu Pracy i spółdzielnia „Szowk" w Samborze zł 5.000, „Silskyj Hospodar" z Ministerstwa Rolnictwa zł 15.000, spółdzielnie mleczarskie (kredyt) „Masłosojuzu" zł 60.000, z Izby Rolniczej na czasopismo „Silskyj Hospodar" zł 3.000.

Dalej idą miesięczne i jednorazowe zapomogi dla różnych ochronek i burs oraz na inne cele. Dla ukr. ochronki we Lwowie p. Rakowej — 1.500 zł, z państwowego funduszu specjalnego, na otwarcie kuchni zł 3.000, z Województwa i miesięcznie zł 1.500, z Społecznej Opieki we Lwowie zł 100 miesięcznie, z magistratu lwowskiego zł 2.200, z Komitetu Opieki Społecznej dla T-wa „Syła" zł 1.500 miesięcznie, z magistratu lwowskiego na bursy zł 1.000 i t. d.

Również samorządy powiatowe asygnują po kilkaset zł dla T-wa „Silskyj Hospodar".

Naukowe T-wo im. T. Szewczenki we Lwowie otrzymywało w przeciągu kilku lat od Sowietów po 500 dol. miesięcznie. Niezakończony proces red. Palijewa z Dr. Daszkiewiczem wykazał, że organizacja „Łuh" otrzymywała z Anglii za pośrednictwem niejakiego Dragana, jak mówią 50.000 zł.

Dzieła Szewczenki były wydawane w Warszawie również za państwowe pieniądze.

Polskie instytucje, jak Galicyjska Kasa Oszczędności i P. K. O. dobrze płacą za ogłoszenia w ukraińskich czasopismach.

Ale widać, że mało jest tego wszy-

stkiego dla „ukraińskiego żywiołu", jeżeli jej przedstawiciel w administracji Narodnym Domem we Lwowie, poseł Celewicz, zażądał na cele ukraińskie 2/3 z funduszu przeznaczonego na cele kulturalne instytucji znajdującej się w sanacji i pod kierownictwem p. inż. Voelpla.

Jednym słowem nie wiadomo, czy znalazłaby się jakaś dziedzina działalności Ukraińców, którąby nie była subwencjonowana przez poboczne źródła.

A 300 płatnych posad nauczycielskich, obsadzonych przez Ukraińców (oświadczenie sen. ks. Łobodycza) podgrzewa „żywioł".

III. KRAJOWE I ZAGRANICZNE KREDYTY.

Ukraińskiej spółdzielczości dano możność korzystania z akceptacyjnego kredytu w sumie zł 720.000, spółdzielczości ruskiej odmówiono. Ukraińska Szczadnycia w Przemyślu, Bank Zemelny, Centrobank i inne korzystają z kredytu w bankach państwowych na ogólną sumę zł 800.000. Różnego rodzaju ukraińskie instytucje finansowe na prowincji korzystają z kredytu w Komunalnych Kasach Oszczędności. Sowiecki Bank Narodowy w Moskwie finansował działalność Centrosojuzu we Lwowie przez swój oddział berliński sumą 40.000 dolarów (patrz akta Sądu Grodzkiego we Lwowie).

Do kredytów należy również zaliczyć przymusową subskrypcję na pożyczki u rolników dla Centrosojuzu i na sanację „Proświty". Co do tego nie wiadomo, czy kredyt ten ma należyte zabezpieczenie i czy jest on prawnie dozwolony w takiej formie, pod jaką go uzyskali.

IV ŚWIADCZENIA SKARBU PAŃSTWA W NATURZE.

Ruch ukraiński korzysta prócz tego z różnego rodzaju przywilejów. I tak niektóre redakcje ukraińskie otrzymują bezpłatne i ulgowe bilety kolejowe. Fale polskiego radia niosą daleko i szeroko „duch ukraiński" w pieśniach politycznych, sprawozdaniach i audycjach cerkiewnych, (kazania, „Boże Jedynyj"... pod koniec mszy). Wydawnictwa państwowych podręczników szkolnych także pracują na „żywioł" za pośrednictwem odpowiednio dobranych materiałów i propagandy terminów „ukraińskich". W czasie, kiedy Związkowi Rewizyjnemu Ruskich Spółdzielni odebrano prawo na zakładanie mleczarń spółdzielczych, to równocześnie spółdzielczości ukraińskiej na czele z „Masłosojuzem" nadano monopolowe stanowisko organizacji mleczarstwa. Statut ukraińskiego T-wa „Wełykyj Łuh" został zatwierdzony, a ruski Sokół nie doczekał się zatwierdzenia. Do administracji Ruskiego Narodnego Domu we Lwowie wprowadzono dwóch przedstawicieli społeczeństwa ukraińskiego (posła Celewicza i inż. Mudrego). Do Galicyjskiej Kasy Oszczędności przyjęto dwóch „Ukraińców" pp. Singalewicza i Decykiewicza, a ani jednego przedstawiciela ze społeczeństwa ruskiego. Do Lwowskiej Izby Rolniczej naznaczono znów „Ukraińców" w większej liczbie jak dotychczas. Do komisji redakcyjnej podręczników szkolnych przyjęto „Ukraińców", a Rusinów pominięto. W podręcznikach szkolnych wykreśla się terminy „Ruś", „Rusyn" i „ruskij" a wprowadza się terminy „Ukrainiec", „ukraiński". Działacze polscy jak ks. Panaś, p. radca Jaroszyński i inni reklamują ruch ukraiński i jego dorobek do tego stopnia, że hipnozie „żywiołu" poddają się nawet wyższi przedstawiciele Władzy. (Organizacyjne zebranie Rady Gospodarczej we Lwowie w obecności 4 Ministrów — pochwały dla Silskiego Hospodara).

Nie jest to ciekawe wgłębiać się w sprawy finansowe obozu ukraińskiego. I nie mielibyśmy żadnych pretensyj co do tego ile i gdzie „Ukraińcy" otrzymują, jeżeliby to wszystko nie działo się naszym kosztem, ponieważ „Ukraińcy" przyswoili sobie monopol przedstawicielstwa całej ludności ruskiej.

A przytem najwięcej oburzające jest to, że „Ukraińcy" korzystają z różnych ulg i otrzymując wszelkiego rodzaju subwencje i kredyty, i to w milionowych sumach nie krępują się twierdzić, że nie „ukraiński", ale ruski ruch jest sztucznie podtrzymywany przez czynniki trzecie.

Działacze „ukraińscy", pozostając w bliskich stosunkach z przedstawicielami władz polskich i decydującymi czynnikami, oczerniając systematycznie Rusinów, oskarżają ich o zdradę państwa. Kłamstwa te rzucają z trybuny sejmowej i za pośrednictwem prasy. Ośmielili się do tego stopnia, że odpowiedzialni przewódcy ukraińscy nazywają w Sejmie obóz ruski strażą przednią Stalina, rzucają kłamstwa na seniora Instytutu Stauropigialnego, jakoby on przyczynił się do zesłania metr. Szeptyckiego na Sybir. Senior Gułła znajdował się w tym czasie w Talerhofie, a do zesłania tego przyczyniły się doniesienia „Ukraińców".

Biuletyn polsko-ukraiński, który jest wydawany przy współudziale redaktora czasopisma „Diło" p. Iwana Kedryna, karmi polskie społeczeństwo artykułami przepojonymi kłamstwem i doniesieniami na społeczeństwo ruskie. Artykuły te są bardzo często podpisywane nazwiskiem publicysty ukraińskiego, zdawałoby się najbardziej znanego wśród dziennikarzy ukraińskich.

Niech obóz ukraiński zaprzestanie walczyć z nami duszącymi gazami prowokacji, a wtedy zmieni się nasz stosunek do nich i możliwa będzie współpraca.

Na razie nie pozostaje nam nic innego, jak tylko walczyć przeciwko kampanii kłamstwa, doniesień i obłudy wszelkimi środkami, jakie tylko dla nas są dostępne.

—o—

Sprawozdanie z Okręgowego Zjazdu Delegatów Związku Legionistów Pol.

odbytego dnia 10 kwietnia 1938 r.

Obrady zagaił Poseł dr Wojciechowski, który na wstępie powitał przybyłych na zebranie przedstawicieli władz, a to p. Wojewodę dr Biłyka, Pułk. inż. Fijałkowskiego — opiekuna okręgowego, Pułk. Grossera, dyrektora P. K. P. Moszorę, Prez. Poczt i Telegrafów, starostę grodzkiego i inn., dalej obecnych posłów i senatorów oraz wszystkich delegatów, Prezesów Oddziałów Związku Legionistów Polskich i Komendantów Oddziałów i Kół Pułkowych. — Następnie nadmienia, że Zjazd ten odbywa się w atmosferze troski o rozwój prac, które stoją przed Obozem Legionowo-Peowiackim, jest dużym zadośćuczynieniem dla tych naszych pragnień i prosi zarazem, żeby ten Zjazd był uświadomieniem, że stajemy przy nowym warsztacie pracy. — Jesteśmy bowiem organizacją, która ma świecić przykładem innym organizacjom społecznym. Powołując organizację naszą do pracy politycznej, okazał nam nasz Wódz Naczelny Marszałek Śmigły-Rydz wielkie zaufanie, i dlatego tym większą pracę powinniśmy wykazać w tej działalności, której nowy etap otwieramy naszymi obradami. — Jeżeli uświadomimy sobie te nasze obowiązki, tę naszą rolę Społecznej Organizacji, to napewno spełnimy żądania, jakie na nas ciążą. — Po zagajeniu zaprasza Prezes dr Wojciechowski do Prezydium Zebrania Płk. Nowaka, mjr. Ziembę, i na Sekretarza ob. Wojtarowicza.

W dalszym ciągu obejmuje przewodnictwo Płk. Nowak i udziela głosu ob. dr Wojciechowskiemu, który wygłasza następujące przemówienie:

Szanowni Koledzy! Obrady nasze dzisiejsze różnią się nieco od obrad, toczących się w czasie poprzedniego Zjazdu, a to ze względu na warunki, w jakich rozwijały się nasze prace w okresie ubiegłym. Właśnie dzisiaj ukazała się wiadomość, że praca przygotowawcza w Obozie Zjednoczenia Narodowego jest na ukończeniu, co napawa nas wielką radością i przekonaniem, że za nami są już wszystkie wstępne trudności, jakie były w pierwszym okresie tworzenia nowej roboty. — Że trudności takie były, nie potrzeba dowodzić, ani też o tym siebie przekonywać. Podchodziliśmy do sprawy tworzenia nowego Obozu w dwojaki sposób: uczuciowo i rozumowo. — Uczuciowo nie mieliśmy żadnych wątpliwości, gdy wzywał nas do pracy następca Komendanta Marszałek Śmigły-Rydz, rzeczowo pragnęliśmy zrozumieć zasady nowej organizacji, przejąć się nimi, aby potem móc społeczeństwu narzucić potrzebę pracy politycznej w nowych formach.

Jeśli wysuwaliśmy pewne postulaty, to czyniliśmy to wyłącznie z troski o powodzenie sprawy. — Mamy prowadzić szerokie rzesze, jest więc momentem decydującym, jakie jest nasze samopoczucie, gdyż od pewności siebie tego, kto stoi na czele, zależy wynik akcji. Dlatego też robiąc rachunek sumienia za okres miniony, musimy w sobie utwierdzić głęboko przekonanie o słuszności sprawy, której służymy. Musimy prosić naszych przywódców, ażeby i oni, zmagając się wewnątrz siebie przy powzięciu decyzji, gdy ważą się losy Państwa, znaleźli chwilkę czasu dla zrozumienia naszych nastrojów i pomogli nam w rozwiązywaniu kłopotów mniejszych ale nie mniej ważkich dla całości sprawy. Obowiązkiem naszym jest najpewniejszy element ludzki rzucić na szalę. Wódz może zawsze na nas liczyć. Jesteśmy tym wojskiem, które pójdzie z entuzjazmem na każdą wskazaną nam przez Wodza robotę polityczną.

Ale polityka jest czasem trudniejsza niż wojna i wymaga lepszego zrozumienia nakazanych zadań, a im więcej lat upływa od 6 sierpnia, tym silniej każdy z nas wsiąka w społeczeństwo.

My musimy być żywą cząstką tego społeczeństwa, wśród którego żyjemy, ale też musimy zachować własne „ja", które wywodzi się z 6 sierpnia. Nie trzeba daleko sięgać, ażeby zdać sobie sprawę, że życie narodu polskiego jest w chwili obecnej bardzo ciężkie i skomplikowane. Dlatego też my koledzy, musimy bardzo szanować tych wszystkich, których obok nas wezwał Wódz do pracy, a którzy mają iść razem z nami. W naszej świadomości musi się utworzyć jeszcze nowy czynnik: czynnik przyciągania elementów nowych — przede wszystkim młodego pokolenia. To musi zapanować ponad wszystkim. Mówiłem, że życie polskie podlega głębokim wstrząsom. Napawa nas wszystkich wielkim niepokojem fakt, że stan, jaki był w okresie naszej młodzieńczej polityki, uległ poważnym zmianom. — Nie wygląda on dzisiaj tak, jak w latach minionych i nieraz można skonstatować ze smutkiem i żalem, iż straciliśmy serce szerokich mas ludu chłopskiego, a to jest zjawisko niepomyślne.

Weźmy naprzykład zagadnienie ostatniego konfliktu polsko-litewskiego. Proszę kolegów, my nie możemy zapominać o jednym ważnym czynniku, — że 1000 zdyscyplinowanych w batalionie żołnierzy stanie zawsze do dyspozycji dla obrony Państwa, a 1000 chłopów na jarmarku, jeśli nie będzie ujętych w karby karności, nie będzie przedstawiało żadnej wartości. — My reprezentujemy ten czynnik, który ma stać na straży bezpieczeństwa państwa polskiego. Nasza świadomość żołnierska nie pozwala na zniżenie się do elementów, które chcą ubezwładnić siły państwa polskiego.

Słuszne żądania gospodarcze wsi należy zaspokoić. Ale muszę stwierdzić obiektywnie, że jeśli przysłuchujemy się odgłosom, idącym ze wsi, które negatywnie odnoszą się do poczynań naszego Wodza, to dochodzimy do przekonania, że kłopoty materialne wsi zeszły tam obecnie na drugi plan, a wysunęły się na czoło życia wsi sprawy polityczne i tylko polityczne. Faktem jest, że w Rządzie przeciw któremu wysuwane są głosy chłopów, zasiada człowiek, który jak najczynniej przyczynia się do poprawienia bytu chłopa na wsi. Jest nim Minister Poniatowski. My domagamy się tego, aby na wsi przywrócić prawdziwy samorząd, ażeby sołtysów, wójtów wybierali chłopi sami wedle swojego widzimisię. Idąc tą drogą, zyskamy sobie chłopa i zdobędziemy jego zaufanie.

Na ostatnim posiedzeniu Posłów i Senatorów w Warszawie w dniu 31 marca 1938 r. Szef Obozu Zjednoczenia Narodowego, Generał Skwarczyński, odezwał się do nas w te słowa: — „Panowie Koledzy, idźcie w teren, a jeśli któryś z Was oberwie po głowie, to trudno". — Takie podejście do sprawy uważam za bardzo słuszne. Musi u nas nastąpić wzmożenie poczucia odpowiedzialności za sprawę, jakiej służymy. — Chcę stwierdzić, że zerwaliśmy z metodą oczekiwania i uśpienia wewnętrznego. Trzeba wrócić do warsztatów

pracy społecznej i politycznej, trzeba nadstawić karku, aby nadrobić zaniedbania ubiegłych lat. Nasz program poza koniecznością pewnych ewolucji, bo przecież życie się ustawicznie zmienia, nie uległ zmianom i nie znajduje sprzeciwów. Tworzenie i montowanie państwa było zawsze rzeczą trudną. W pracy tej nie było endecji, byliśmy tylko my. Endecy umieją dzisiaj montować młodzież i swoje organizacje do walki z rządem polskim, a nie umieli występować do walki z zaborcami, my nie potrzebujemy legitymować się naszymi hasłami narodowymi, bo sami byliśmy zawsze najszczerszymi narodowcami, jakich nie widziano na ziemi polskiej od roku 1863. Najważniejszą dla nas rzeczą jest nienaruszalność i siła naszej armii. Czy ktokolwiek zdoła zaprzeczyć, że jest wielka siła w naszej armii, jakiej nie było na przestrzeni wieków. Oto jest nasza zdobycz! Jeśliby ktoś chciał kwestionować naszą w tym zasługę, to musimy podnieść krzyk protestu na całą Polskę — a jeśli ktoś inny odbiera nam prawo do patriotyzmu, jeśli chce zohydzić naszą legionową ideę, to my ukazujemy mu sztandar armii, która z naszej krwi powstała, z naszych trudów i z naszych serc. — To jest ten kapitał moralny, z którym możemy iść wszędzie.

Obóz Zjednoczenia Narodowego ma tego samego Wodza, którego ma armia — to nie jest przypadek, to jest rzecz wynikła z istoty rzeczy, bo Obóz Zjednoczenia Narodowego ma na celu skupić cały naród przy idei obronności państwa. — Jeśli mamy mówić o sile naszego Obozu politycznego, który ma swój rodowód w dniu 6 sierpnia, to przeciwnikom naszym, którzy przeciwstawiają się idei Zjednoczenia Narodowego, powiemy jak dawniej: „Nie chcemy już od Was uznania”. Ideę tę zrealizujemy wspólnie z wszystkimi Polakami dobrej woli, nikogo nie odsuwamy, do wszystkich wyciągamy bratnią dłoń w imię Polski, w imię sprawy, której służymy od 6 sierpnia 1914 roku.

P. WOJEWODA BIŁYK:

Proszę Kolegów! Ja nie byłem przygotowany do tego, aby przemawiać. — Przemówienie moje staje się tym trudniejsze, że aczkolwiek jestem legionistą, to w tej chwili musiałbym, a raczej będę musiał starać się odgraniczyć to, co myślę jako legionista, od swoich możliwości w zakresie wykonywania funkcji rządzenia. Otóż zacznę od tego, co myślę jako legionista. — Zgadzam się i podkreślam to, co mówił Wasz Prezes na temat zdecydowanych zaniedbań, które musimy zanotować na przestrzeni 12 lat. — Jest dziedzina życia państwa polskiego, o której mówiąc, musi się wspomnieć o osobie Marszałka Piłsudskiego. Tych dziedzin jest dwie. Wojsko i polityka zagraniczna. — Los zabrał nam Wielkiego Marszałka zbyt wcześnie jak na nasze dojścia organizacyjne i śmierć Marszałka zastała nas w okresie jak najbardziej niekorzystnym. Wszystko w naszym Obozie spotyka się z krytyką, tylko wojsko i polityka zagraniczna nie spotyka się z żadnym zarzutem. Trzeba sobie powiedzieć otwarcie, że dotychczas rządziliśmy Polską my, nikt inny tylko my. Nie jestem historykiem ani filozofem, aby pokusić się o jakieś syntezy. Czy będą to wywody p. Biłyka, czy innego Ixińskiego, za stan obecny w Polsce odpowiedzialni jesteśmy tylko my i nikt więcej. Jeszcze jedna ważna rzecz, i jest to fakt bezsporny, że i za to, co w Polsce w najbliższej przyszłości będzie się działo, odpowiada również tylko obóz legionowy, ponieważ obóz ten stał się ośrodkiem pracy konstruktywnej Obozu Zjednoczenia Narodowego. Tak, jak powiedział Pan Poseł Wojciechowski, — my musimy bezwarunkowo zakończyć z tym „splendid isolation”. Zdajemy sobie sprawę chyba z tego, że już przeszliśmy połowę swego życia. — Zwróćmy uwagę, że jeżeli jeszcze 10 czy 15 lat będziemy mieli werwę moralną i siły fizyczne pracować, ale nie tak z dnia na dzień, tylko twórczo, to nie jedną rzetelną usługę oddamy państwu polskiemu. Musimy obok siebie skupić jak najwięcej ludzi i to młodych, bo przecież lada rok posłami do Sejmu będą nasi synowie.

Jeszcze jedna rzecz, aby sobie zdać sprawę jasno, że tylko i wyłącznie od nas w tej chwili zależy, w jaki sposób Obóz Zjednoczenia Narodowego formować się będzie. — Słusznie, żeśmy się otrząsnęli. Pracując, staniemy się jądrem konsolidacyjnym całego narodu. — Należy spotykać się z ludźmi innych elementów, nie należy likwidować indywidualności — tylko je przyciągać do wspólnego warsztatu pracy. Ostatnia kontestacja, że nas w terenie nie ma. Ja, będąc tym administratorem, stwierdzam, że Was w terenie nie ma. Jeśli my, względnie ludzie tak samo jak my myślący, nie znajdujemy się wśród młodzieży, jeśli my nie znajdujemy się wśród chłopów, to się będziemy nadal wysmarzali w takim samym sosie, w jakim się przez 12 lat smarzyliśmy.

Następnie krótko przemawiali na temat pracy w Obozie Zjednoczenia Narodowego:

1) ob. dr Dwernicki, który podziękował Prezesowi Okręgu za pięknie i treściwie wygłoszony referat oraz
2) ob. Dudzik ze Stryja i
3) ob. Ekiert z Sanoka.

W końcu ob. mjr. Ziemba, wiceprezes Okręgu złożył sprawozdanie z działalności Zarządu Okręgu za rok 1937.

Zjazd uchwalił nadto wysłanie depesz do Pana Prezydenta R. P., Marszałka Polski Edwarda Śmigłego-Rydza, Premiera Gen. Składkowskiego, Gen. Skwarczyńskiego oraz Generała Tokarzewskiego.

Na tym obrady zakończono o godzinie 14-tej.

Czy zmieniać ordynację wyborczą dla miast?

Sprawozdanie z posiedzenia Klubu Dyskusyjnego przy Zarządzie Okręgu Związku Legionistów Polskich we Lwowie, w dniu 19 marca 1938 r.

(Przebieg dyskusji).

Dr. St. Ostrowski:

Na pochwałę klubu dyskusyjnego warto podnieść, że podejmuje aktualne zagadnienia, co dowodzi jego żywotności. Obecna dyskusja nad ordynacją wyborczą do 6 miast — jest może przedwczesna, gdyż nie ustalono dotąd czy projekt ustawy wejdzie na porządek obrad sesji nadzwyczajnej ciał ustawodawczych, mogłaby zaś być opóźniona gdyby miarodajne czynniki, powodując się głosowaniem na Komisji specjalnej — uznały za celowe przesunąć debaty nad ordynacją na okres późniejszy. Tak jak chwilowo rzeczy stoją — możnaby wnioskować z wyniku głosowania na Komisji — większość przyjęła status quo. To pozwala na spokojny osąd na tym miejscu — zagadnienia, które w realizacji mogłyby przynieść wynik dodatni lub ujemny.

Miasta, które obejmuje projekt — mają jedną wspólną cechę cyfrową — zaliczają się do największych miast Rzeczypospolitej. Każde z nich jednak ma szereg odrębności, nieraz swoistych regionalnych, niemniej pod względem jakości kulturalnych, gospodarczych, ludnościowych i politycznych.

Dla pewnego uproszczenia można by je zestawić w 2 grupy: Warszawa — jako stolica z tendencją do narastania — nie tyle z przyrostu naturalnego, ile raczej dopływu imigracji i Łódź — swoisty ośrodek przemysłu — miasto na lotnym piasku zbudowane, na długo nie zdradzające znamion — właściwej innym skupiskom miejskim — stabilizacji. Z drugiej strony Lwów, Kraków, Poznań, Wilno — miasta o bogatej kulturze, mające wyższe uczelnie, o ludności naogół stałej, mającej pewną tradycję samorządową, a może jedynie umiłowanie swojego grodu i patriotyzm lokalny. Do włodarzenia miastem te ostatnie wartości — o ile chodzi o rady miejskie — nie mogą być zapoznawane. Uchwycenie tych wartości, właściwych elementowi umiaru, elementowi mieszczańskiemu centrowemu — nie może być obojętne w sterowaniu losami i rozwojem miast, których rola musi znaleść ujście w dynamice i rozwoju struktury, w urbanizacji Państwa.

Na tym tle przypatrzmy się układowi stosunków w Radzie m. Lwowa, wybranej na podstawie ustawy samorządowej z r. 1933:

Centrum mieszczańskie	45	mandat.
N. D.	5	„
PPS.	5	„
Żydzi (syjon. i miesz.)	16	„
Ukraińcy	1	„

Zawodowo stanowią radni oraz członkowie zarządu miejskiego: 23 przedstawicieli wolnych zawodów (6 lekarzy, 6 adwokatów, 4 inżynierów, 2 aptekarzy, 3 dziennikarzy) 31 przedstawicieli zawodów gospodarczych (11 przemysłowców, 10 kupców, 10 rzemieślników), 18 przedstawicieli zawodów urzędniczych (8 profesorów szkół wyższych i średnich, 4 nauczycieli, 3 urzędników państw., 3 urzędników prywatnych) ponadto 3 robotników, 4 emerytów i 5 kobiet.

Na chlubę obecnej rady miejskiej można śmiało powiedzieć, że obecny układ sił pozwala na spokojną, prawidłową gospodarkę w mieście.

Na podstawie projektu nowej ordynacji przyjmującej system mieszany tj. w 60% z powszechnych wyborów, w 40% z wyborów korporacyjnych przyjmując warunki optymalne z r. 1934 — weszłoby przypuszczalnie do Rady miejskiej:

	wyb. powsz.		wyb. korpor.
Centr. mieszcz.	27		9
N. D.	4		1
PPS.	4		7
Żydzi	10		12
Ukraińcy	1		1
	46	+	30=76

Biorąc za podstawę przesłanki wyżej omówione — według mojego mniemania wybory mieszane we Lwowie aczkolwiek przypuszczalnie nasunęłyby niejakie trudności w rządzeniu miastem, prawdopodobnie nie wpłynęłyby zbyt ujemnie na rozwój miasta naszego.

Jaki wpływ może mieć nowa ordynacja w innych miastach trudno dziś przewidzieć. Mało jest prawdopodobne, by rychle zmieniły się stosunki ludnościowe, polityczne bądź społeczne w Poznaniu, Łodzi czy Warszawie. Dlatego wydaje mi się, że wartoby się zastanowić — o ile ordynacja ma być zmieniona — czy nie należałoby uwzględnić odrębności 6 miast i dla każdego, a zwłaszcza dla stolicy — nie zastosować odrębnego statutu wraz z ordynacją. Podstawę po temu znajdziemy w ustawie z r. 1933 w art. 39. Zwłaszcza Warszawa, jako stolica na wzór Paryża — mogłaby mieć na stałe prezydenta miasta z nominacji; choć wiem, że postulat ten nie jest zbyt demokratyczny. Byłby to eksperyment, jak eksperymentem jest projekt ustawy — w moim przekonaniu nieszkodliwy dla mojego miasta i dlatego w sumieniu swojem rozważywszy, głosowałem ostatecznie za projektem. Istotą bowiem rzeczy w gospodarce miejskiej jest — nie kto i kim, ale czym będzie rządził, dlatego w moim przeświadczeniu najpilniejszą jest poprawa finansów samorządowych.

Prezes Klubu dr Dwernicki podziela zdanie posła Wojciechowskiego żeby dyskusję przełożyć na późniejszy czas dodając, że w dyskusji nad projektem ordynacji wyborczej dla 6-ciu największych miast będzie można poruszyć jeszcze wiele spraw. W szczególności skoro kwestia zmiany ord. wyb. dla Lwowa jest na porządku dziennym, należałoby zająć się kwestią zasadniczą, czy podział całego aktu wyborczego na 22 okręgów jest odpowiedni. Wskutek tego bowiem zamiast wielkiego trzystutysięcznego miasta mamy szereg miasteczek po kilka i kilkanaście tysięcy. Interesy okręgów, wybijają się na plan pierwszy — całe miasto zatraca swe oblicze polityczne, gospodarcze i kulturalne. Należałoby powrócić do wyboru powszechnego przez wszystkich obywateli, jeśli nie wszystkich członków Rady to przynajmniej połowy, a drugą połowę radnych co najwyżej pozostawić wyborowi okręgów.

Poprzednia ordynacja wyborcza opierała się na tym, że każdy wyborca głosował na stu radnych. Dawało to możność wysunięcia problemów zasadniczych co do linii rozwojowych miasta, — zmierzało do porozumień i kompromisów różnych grup społecznych — co dawało w sumie efekt solidaryzmu co do pewnych głównych ujęć programowych. — Miasto nie wyszło na tym systemie źle.

Samorząd miasta Lwowa powstał w roku 1870, w czasie, gdy Lwów liczył około 70.000 mieszkańców, gdy jeszcze nie było ani jednej ulicy brukowanej, kiedy przez Lwów płynęła cuchnąca Pełtew, a miasto całe było nieuporządkowane, nie rozbudowane. Dzisiejszy wygląd Lwowa — kanalizację, gazownię, elektrownię, wspaniały teatr, muzeum przemysłowe i inne gmachy muzealne, liczne budynki szkolne, — charakter europejskiego miasta zawdzięczamy tylko samorządowi miejskiemu, opartemu na powszechnej ordynacji. Mimo, że były ostre walki narodowościowe i polityczne, obywatele miasta Lwowa

Z ŻYCIA GOSPODARCZEGO

INICJATYWA GOSPODARCZA

W życiu gospodarczym państwa utarł się zwyczaj, że społeczeństwo zamiast się organizować gospodarczo i zwarcie dążyć do uporządkowania, niektórych dziedzin handlowo - przemysłowych wyczekuje na inicjatywę państwową, a równocześnie czyni państwu ostre zarzuty etatyzowania życia gospodarczego.

Prawda, że daleko posunięta ingerencja urzędowa w życie gospodarcze społeczeństwa nie jest doskonałością i może doprowadzić do znamion totalizmu, ale stan ten wytwarza samo społeczeństwo przez domaganie się od czynników urzędowych kredytów, daleko idącej ochrony społecznej i pomocy przy zdobywaniu rynku zbytu.

Siłą rzeczy, państwo ujmuje inicjatywę w dłonie i uzyskuje przewagę w inicjatywie gospodarczej. Państwo, jako twórca i częściowy choćby właściciel pewnych warsztatów pracy nie może przecież dopuścić do tego, aby przedsiębiorstwa, zorganizowane przez państwo, zasilane funduszami publicznymi, uprawiały zachłanność kapitału prywatnego lub były wykupywane przez kapitał obcy, niejednokrotnie pracujący przeciw bezpieczeństwu państwa. Zresztą, nie wszystkie gałęzie produkcji krajowej mogą być objęte kapitałem prywatnym, a to ze względów militarnych.

Należy przeto przyjąć zasadę, że kapitał prywatny, wyrażający się w zbiorze dóbr, nagromadzonych w rękach jednostek wzgl. grup ludzi, nigdy nie posiadał doskonałych cech patriotyzmu narodowego, jako związany i bardzo często zależny od działań kapitału zagranicznego, a nadto oparty na zasadach egoistycznych i bezwględnej żądzy bogactwa.

Chociażby nawet przyjąć, że państwo jako przedsiębiorca, posiada mniej inicjatywy i rzutkości, niż kapitał prywatny, to przecież wyprzedza ono kapitał prywatny troską o zagadnienia publiczne, a poszczególne gałęzie przemysłowo - handlowe, prowadzone przez państwo, powoli lecz stale są udoskonalane przy uwzględnianiu potrzeb klasy pracowniczej i bezpieczeństwa granic państwa. Przy tym wszystkie odcinki przemysłowo-handlowe, zarządzane wyłącznie, czy częściowo przez państwo, za wyjątkiem ścisłego przemysłu wojennego, podlegają publicznej wzgl. niezależnej kontroli państwowej. Rzecz naturalna, że kontrola ta nie jest w pełnym tego słowa znaczeniu. Należy jednakże przyjąć zasadę prawną, że wydatki i dochody gospodarstwa państwowego, podlegają kontroli ciał ustawodawczych. Cała potęga kontroli publicznej polega więc na tym, na jakich zasadach i w jaki sposób są wybierane ciała ustawodawcze.

Wobec powyżej naprowadzonego stanu rzeczy, inicjatywa prywatna traci charakter siły i zwartości, a przy braku środków materialnych, nie przedstawia większych wartości zdobywczych. Jednakże, inicjatywa prywatna jest czynnikiem bardzo wartościowym i przez państwo pożądanym, jako element rzutki, dający możliwości podatkowe i przyspasabiający społeczeństwo do działań gospodarczych. Inicjatywa prywatna, oparta o pomoc państwową, zatraca swój właściwy charakter i nie może rozwijać pełnej działalności w dziedzinie handlowo - przemysłowej. Zdobycie zaś większych kapitałów dla działań inicjatywy prywatnej jest sprawą trudną do rozwiązania, gdyż kapitały rodzime grzeszą dużym brakiem zaufania do własnych poczynań przemysłowo-handlowych, zaś pomoc wielkich banków stwarza niebezpieczeństwo zahamowania przemysłu i handlu krajowego.

Inicjatywa prywatna powinna więc podążać równolegle obok inicjatywy państwowej, zdobywając siłę i potrzebne kapitały na drodze zorganizowanego działania obywateli.

Inicjatywa prywatna stosując zasady spółdzielczego działania uchyli się od ciągłego zasilania jej kredytami z kasy państwa, uzyska możność niezależnego działania wśród społeczeństwa, a od państwa otrzyma należytą ochronę i ulgi przysługujące zasadom spółdzielczym. Inicjatywa prywatna bezwarunkowo powinna rozwinąć swoją działalność po wsiach celem zorganizowania handlu produktami rolnymi. Handel produktami rolnymi spoczywa przeważnie w rękach, kredytem operujących, pośredników, a jako wygodny dla rolnika, rzutki i pełen inicjatywy, bo idzie tu przecież o życie i warsztat pracy pośrednika — trudny jest do odsunięcia na dalszy plan działania. Spółdzielczość wiejska nie posiada jeszcze dość siły organizacyjnej aby mogła się skutecznie przeciwstawiać pośrednikowi. Ale nietylko pośrednik stara się powstrzymać spółdzielczą inicjatywę prywatną na wsi, nieświadomie przybywają z pomocą pośrednikowi również warunki w jakich spółdzielczość pracuje po wsiach.

T. OBALT

Na pograniczu Litwy i Prus Wschodnich

(wlś) Podpisanie w Augustowie porozumienia o bezpośredniej komunikacji między Polską i Litwą zwróciło uwagę społeczeństwa na ten cichy zakątek kraju.

Jakie jest to słynne dziś miasto, co jest jego charakterystyczną cechą, a wreszcie — jak jest na całym Pojezierzu Augustowsko - Suwalskim, na tym fragmencie pogranicza prusko - wschodniego i litewskiego, gdzie zapoczątkowanie normalnych stosunków sąsiedzkich Polski z Litwą może mieć przełomowe znaczenie w kształtowaniu się dalszej przyszłości kulturalnej i gospodarczej tych ziem?

Zacznijmy od Augustowa.

Augustów — to małe, 14-tysięczne miasto, w otoczeniu puszcz i jezior, które może być wzorem typowego miasta, o dominujących wpływach lokalnego patriotyzmu. Patriotyzm ten, wyrosły na podłożu olbrzymich wartości terenowych, stał się niejako bujnym krzewem na glebie najpiękniejszego skrawka ziem kresowych. Jest on klasycznym objawem najwłaściwiej pojętego patriotyzmu lokalnego, z jego kulturą, ze zrozumieniem kierunku ekspansywności, z ogromnym, fanatycznym umiłowaniem terenu.

Najważniejszym problemem Augustowa są jego jeziora. Pojezierze Augustowskie stanowić ma w przyszłości jedno z najpoważniejszych źródeł dochodów miasta. Bogactwem tych jezior jest ich naturalne piękno. — Wspaniały szlak wód, począwszy od rzeki Netty do jeziora Necko — przez ciche wody Rospudy i rzeczkę Rospudy do Świętego Miejsca — do ruin pałacu Paca w Dowspudzie, i dalej przez jezioro Bolesty, Okrągłe, Sumowo, Głębokie, Garbaś, Długie, Kamienne, Rospudę Drugą — aż do granicy pruskiej; albo przez jeziora Gorczycę, Paniewo i Krzywe — na jezioro Mikaszewo; albo przez Czarną Hańczę w stronę Wigier, królowej jezior Augustowskich — jest przysłowiowym, pozostawiającym niezatarte wrażenie, „rajem kajakowców", którego eksploatacja odbywa się w sposób co raz bardziej planowy.

W ciągu ostatnich kilku lat zrobiono w Augustowie bardzo wiele. Zdołano „przeorać" dokładnie całe Pojezierze, poznać jego olbrzymie wartości i — co może najważniejsze — zdołano poznać tutejszego człowieka i dokonać penetracji ducha polskiego na tle puszcz i jezior.

— — — — — — — —

Miasto, podobnie jak człowiek, musi mieć z czego żyć, aby rozwijać się normalnie. Mogą to być tereny eksploatacyjne węgla lub nafty, może być przemysł, handel, rzemiosło, lub inne warunki. Ale jeżeli w mieście nie bije zdrowe tętno pracy — staje ono w symbolicznej sytuacji człowieka, wyczekującego nieustannie wsparć i zapomóg, — człowieka, który już nie liczy na prężność własnego organizmu, zdolnego do samodzielnego życia. Bywają jednak miasta, które — podobnie jak ludzie — przyszłość swoją opierają na słonecznych nadziejach.

Do kategorii tych ostatnich należy jedno z najsympatyczniejszych miast w klinie ziem kresowych — Suwałki. Ciche, ładnie rozplanowane miasto, o strzelistej ulicy głównej, w którym pozornie nie dzieje się nic. Nie widać tu ani kominów fabrycznych, nie ma większych zakładów przemysłowych, nie ma żywszego ruchu.

Ze wszystkich miast Białostoczyzny Suwałki najbardziej wysunięte są na północ. Suwalszczyzna tworzy tu ostry klin między granicami Litwy i Prus Wschodnich. Coś w rodzaju ślepego zaułka kresowych ziem Polski, otoczonego pasami granicznymi i na północy zamkniętego wspólną granicą pruskolitewską.

Suwałki żyją nadziejami. Już od dłuższego czasu to niewątpliwie najsympatyczniejsze i najbardziej nowoczesne miasto kresowe nie okazuje żadnych tendencyj rozwojowych, nie rozrasta się terenowo ani ludnościowo. Okres bujniejszego rozkwitu należy tu do czasów przedwojennych, kiedy to ruch kulturalny i handlowy promieniował z Suwałk aż do Kowna. Możliwości te mają się powtórzyć wkrótce. Ale nie wyprzedzajmy zdarzeń. Nadzieje dzisiejszych Suwałk wiążą się ściśle z możliwościami eksploatacji bogactw naturalnych Pojezierza. Jak wiadomo, nie ma tu żyznych ziem, są tylko wspaniałe lasy, przestrzenne piaski i jeziora. Na tym terenie rozpoczęto niedawno realizację wielu ambitnych zamierzeń, a szczególnie właśnie na jeziorach, na Wigrach, chociaż przez pewną analogię przypomina to budowę zamków na lodzie.

Wigry stanowią największe bogactwo Suwałk, jak w innych ośrodkach kraju złoża mineralne lub przemysł. W jaki sposób przystąpiono do realizacji programu wigierskiego, widać to w terenie. Krajobraz nadwigierski, zmienia się systematycznie, w miarę przeprowadzanych robót. Nowe budynki, nowe drogi, niebywały tu nigdy ruch, znamionuje nowe życie nad Wigrami. Praca nad Wigrami połączona jest z ciągłym eksperymentowaniem. Do badania wód wigierskich wzniesiono stację hydrobiologiczną, która utrzymuje łączność prawie z całym światem naukowym. Sztuczna wylęgarnia daje już teraz około pięćdziesiąt milionów ryb rocznie. To są sukcesy. A przecież nie należy zapominać, że Wigry to nie tylko teren dla eksploatacji ryb, to przede wszystkim olbrzymi obszar wód — 80 km w obwodzie, to piękny teren turystyczny, gdzie różnokierunkowe prądy stwarzają wybitnie sprzyjające warunki dla żeglarstwa i szybownictwa.

Wigry mają więc w przyszłości odegrać rolę żywiciela Suwałk. Mają stać się najważniejszym czynnikiem ich rozwoju gospodarczego i kulturalnego. Mają stworzyć z Suwałk nowoczesne miasto turystyczne.

— — — — — — —

Poza Augustowem i Suwałkami najbliższym większym miastem jest Grajewo. Typowe, ruchliwe miasteczko nadgraniczne, w centrum trochę chaotyczne, nieuporządkowane, pełne furmanek chłopskich. Pozornie wcale nieciekawe miasto. W rzeczywistości jednak jest to jedno z naj-

---

w drodze zdrowego kompromisu i poczucia solidarności wybierali zawsze odpowiednich ludzi do Rady Miejskiej.

Proszę spojrzeć na portrety prezydentów miasta, zdobiących tę salę: lakiernik Dąbrowski, obok obok rejent Janicki, — sławny Zyblikiewicz, obok kowal Michalski, — drukarz Neumann — obok publicysty dr Rutowski, tuż ślusarz Ciuchciński itd. itd.

Nazwiska te świadczą, że i prezydenci nie pochodzili z jakiejś ciasnej kliki — ale byli rzeczywiście odpowiednikami sił żywotnych grup w danym czasie dominujących w pracy i służbie dla miasta.

Ten system wyborczy dawał też radę pod względem społecznym — do tego stopnia, że nawet w czasie, gdy robotnicy nie mieli czynnego prawa wyborczego, ich czołowi reprezentanci, jak Hudec lub Diamand głosami burżuazji demokratycznej byli powoływani w skład Reprezentacji miasta!

Tak wyglądało to duchowe oblicze miasta przy omawianej ordynacji wyborczej.

W odpowiednim czasie przeto Zarząd Klubu nie omieszka dać sposobności do ponownego omówienia i pogłębienia tej tak ważnej dla naszego miasta sprawy.

—o—

poważniejszych miast kresowych, gdyż tutaj właśnie, do chwili nawiązania kontaktu z Litwą, zaczynała się reprezentacja Polski.

Weźmy taki prosty przykład: spoza bariery granicznej, z bliższych pruskich miejscowości przyjeżdża do Grajewa setki osób, wśród których nie brak naszych Mazurów. Wielu z tych ludzi nie podróżuje nigdzie w głąb kraju, skąd mogliby wywieźć korzystniejsze wrażenie. W Grajewie załatwiają swoje sprawy i stąd wracają na pruską stronę. W takich warunkach wygląd miasta, utrwalony w pamięci człowieka, który nie zna nas dokładniej, staje się obrazem Polski. Może się to wydawać nieprawdopodobne, ale to fakt. I to, że wrażenia wywiezione stąd nie są korzystne. Począwszy od samej granicy, od Prostek, skąd chłopskie furmanki spełniają rolę dorożek konnych, tłukąc się z turkotem między chałupami Bogusz, aż do centrum miasta — Grajewo nie spełnia roli reprezentacyjnej, do jakiej zostało predystynowane z racji swego nadgranicznego położenia.

Chodząc po ulicach Grajewa odnosi się wrażenie, że nikogo tu nie obchodzi, że jest to ten pierwszy punkt styczny obcych i często nieżyczliwych nam ludzi z polską rzeczywistością. Obok dość przyzwoitych budynków wszędzie widać tu stare walące się rudery, parterowe budy z pozałamywanymi dachami, odrapane, obskurne, stawiane kiedyś przed dziesiątkami lat, bezplanowo, aby dach nad głową. Na każdym kroku widać rażące dowody niedoceniania propagandowego znaczenia Grajewa.

— — — — — — —

Z Grajewa jest 5 km do granicy Prus Wschodnich. Jest to przestrzeń, dzieląca nas od centrum miasta przez wieś Bogusze, do linii granicznej. Tuż za peryferiami Grajewa, po obu stronach niezbyt dobrze utrzymanej drogi, widać bezładnie porozrzucane chaty wiejskie Bogusz — typowej wsi polskiej. Dokoła roztacza się widok biedy „kresowej". Z daleka, ze szczytu zlekka górzystej drogi, widać Prusy... Zwracają uwagę czerwone dachy domów. Na widok bliskich, kolorowych murów, na myśl, że to już po tamtej stronie, doznaje się uczucia niepokoju. W porównaniu z naszą rzeczywistością kontrasty okazują się bezsporne. Szare, biedne chaty pod strzechami i kolorowe domy... Ciekawość wzrasta, aby jak najprędzej dostać się na tamtą stronę, aby zobaczyć tę ich gospodarkę. Mijam ostatnie zagony pól mazurskich, ostatnie polskie chaty. Wreszcie jestem na granicy.

Droga nie kończy się tu nagle, biegnie dalej — strzelista, daleka. Ale tu już granica. Coś w rodzaju bramy nad którą wzniesiono szlaban graniczny. Na uboczu, równolegle z drogą, bezszelestnie płynie mała rzeczka Ełk, wypływająca z Mazowsza Pruskiego. Dziś rzadko zwraca się uwagę, że właściwie jest to nie Ełk, lecz Łęg — od polskich łęgów, od łąk. Ale i tam, po tamtej stronie, przechrzcili ją na Lyck.

— — — — — — —

Prostki. Krótka, oficjalna formalność na posterunku celnym — i znajduję się na... Adolf Hitler Strasse. Jest to ulica stanowiąca przedłużenie drogi z Bogusz. Wrażenie: dość dziwne. Jeśli chodziło o stworzenie kontrastów granicznych, nie można było zrobić tego lepiej. Polityka nadgraniczna Prus okazuje się tutaj w całej pełni. Wspaniale zabudowana ulica główna prezentuje się bogactwem wystaw sklepowych. Ale nie chce się wierzyć, aby w tej małej osadzie, pełnej czerwono-kremowych domków, jakby umyślnie uszeregowanych, mogło utrzymać się tyle sklepów. Wszędzie panuje nastrój sztywnej niemieckiej powagi. Wystawy sklepów, nad którymi wznoszą się olbrzymie szyldy, zamalowane fantazyjną szwabachą, przeładowane są towarami. Nie są to wprawdzie produkty codziennego użytku — nabiał lub wędliny, bo w Prostkach jest nieproporcjonalnie mało ludzi w porównaniu z tymi efektownie urządzonymi wystawami, ale każdy z tych domów może uchodzić za skromny dom towarowy. Na niektórych szyldach zwracają uwagę zniemczone polskie nazwiska. Są to już ludzie „tutejsi, pruscy", choćby się nawet pisali szwabachą, jak „Tscheikowsky"... Ogólnie wiadomo jednak, że w urządzaniu tych wystaw frontem do ulicy nadgranicznej osady, przez którą przejeżdżają obcy ludzie w drodze do centrum Prus, jest zrozumiała gra na efekt. Są to stałe, „martwe", dekoracyjne wystawy sklepów do których rzadko zachodzi klient. Mają one dokumentować „dobrobyt" Prus.

W pojęciu przeciętnego śmiertelnika nie może się pomieścić to wszystko, co widzi na terenie tej skromnej osady, a właściwie wzorowej wsi pruskiej, która ma zaledwie dwa i pół tysiąca mieszkańców. Jest to jednak zrozumiała „gospodarka". Trzeba tylko pobyć tu dłużej, przyjrzeć się temu bliżej, poznać to dokładniej. — Wówczas łatwo się zrozumie, że w rzeczywistości panuje tu typowa błyszcząca nędza. Wystarczy pojechać 10—15 km dalej, choćby w bok od Prostek, a zobaczy się tam biedę po wsiach, jakiej i u nas nie brak. Nie zmienia to jednak faktu, że między pruskimi Prostkami a czterokrotnie większym Grajewem jest olbrzymia różnica na naszą niekorzyść. Grajewo dopiero dziś zaczyna rozumieć swoją rolę propagandową, zaczyna się dźwigać po woli, ale systematycznie. Nie tylko zresztą Grajewo. To samo można powiedzieć o Suwałkach i Augustowie. Dziś już nie ulega wątpliwości, że wobec wytworzenia się nowej sytuacji politycznej, zrozumienie to będzie wzrastać w szybkim tempie. Dla tych ziem bowiem, dla Pojezierza Augustowsko-Suwalskiego, dla całej Suwalszczyzny i bliskiego pogranicza prusko-wschodniego, z rozpoczęciem normalnych stosunków z Litwą — zaczyna się nowy okres rozwojowy niewątpliwie.

Dziś też zdaje się już nie ulegać wątpliwości, że w nowej sytuacji politycznej Litwa będzie czerpała znacznie większe korzyści z Polski, niż Polska z Litwy. Tak, jak było za dawnych dobrych czasów zgodnego współżycia polskolitewskiego.

—o—

WŁADYSŁAW ŚLEDZIŃSKI

Reportaż z więzienia

Od redakcji: Autor reportażu 19 dni siedział w więzieniu. Aresztowany wskutek przykrego nieporozumienia — miał możność bezpośredniego zetknięcia się z życiem poza tajemniczymi „ścianami świata". Po uzyskaniu wyroku uniewinniającego w sprawie „inkryminowanego" mu „przestępstwa" — nie ukrywa wstydliwie swojej przygody, lecz z poczuciem obowiązku dziennikarskiego odsłania kulisy posępnej wegetacji grupy ludzi o krańcowo różnych indywidualnościach, zapędzonych przez los do wspólnej celi.

Przez zakratowane okno celi więziennej nr 34 widać szarą płaszczyznę dachu sąsiedniego domu, nad dachem — kilka anten i z prawej strony — szczyt słupa telegraficznego z drutami, urywającymi się za fragmentem czerwonego muru. Gdy podejść bliżej okna, znajdującego się na wysokości dwóch metrów od ziemi — dach, anteny i szczyt słupa znikają z pola widzenia. Z kwadratowego obramowania okiennego roztacza się przestrzeń bezbarwnego nieba. W powietrzu, napływającym do wnętrza przez otwarte na rozcież okno, czuć chłód i wilgoć. Dzień zapowiada się pochmurnie.

W celi półmrok. Na łóżkach, odsuniętych nieco od wilgotnych ścian, śpią więźniowie. Sześć żelaznych łóżek i na podłodze przy drzwiach — trzy sienniki wypełniają celę. Umeblowanie to uzupełnia długi prymitywny stół i dwie ławy. Jest tu poza tym miska, kubeł, kibel, trzy półki i wysoko na ścianie — metalowa miniatura ukrzyżowanego Chrystusa.

Ciszę celi przerywa chwilami ostre chrapnięcie więźnia, śpiącego przy drzwiach na podłodze. To „kom", młodziutki chłopak, jeden z licznych w więzieniach bohaterów 97 artykułu kodeksu karnego, oskarżony o współudział w akcji „czerwonej pomocy". Ten ma najbardziej niespokojne noce: mówi przez sen, płacze, a nawet krzyczy. Gdy zaśnie — zaczyna gwałtownie chrapać, krztusi się od tego chrapania i budzi się, śmiertelnie znużony. Wówczas owija się w koc, siada na sienniku z podwiniętymi pod siebie nogami, głowę opiera o framugę drzwi i patrzy z rezygnacją w zakratowane okno, za którym roztacza się tajemnicze niebo.

Więźniowie leżą skuleni na siennikach, każdy z głową pod kocem. Nikt nie śpi spokojnie: pluskwy i dokuczliwy chłód, wiejący przez okno i szpary w drzwiach wstrząsają dreszczem zimna i obrzydzenia.

Zegar więzienny ciężkim, metalicznym dźwiękiem wybił trzy kwadranse na siódmą, po chwili — z oddali, jakby stłumionym echem — odpowiedział mu trzykrotnym uderzeniem zegar ratuszowy. O tej porze zaczyna się budzenie więźniów. Na dziedzińcu rozlega się głos dzwonu, w korytarzu słychać dudniące kroki strażnika, potem znowu przenikliwe dzwonienie, znowu kroki na korytarzu, zgrzyt zamków, trzask drzwi, odgłosy rozmów.

W celi trzydziestej czwartej pierwszy wyjrzał spod koca Kos-defraudant. Uśmiechnął się anemicznie, westchnął i rozejrzał się po celi. Kos zdefraudował dwadzieścia tysięcy złotych w dyrekcji telefonów. Wszystko przehulał, dostał dwa lata, siedzi już osiem miesięcy. Czeka na apelację. Jest gadatliwy, czasem lubi pożartować. Zawołał donośnie, naśladując głos spikera radiowego.

— Hallo! Hallo! Współtowarzysze niedoli kryminalnej! Wstajemy!

Kom, nac, suwaks, czterech pospolitych, Żyd-kinder i student wysadzili głowy spod koców*). Towarzystwo to jest dowodem mądrości politycznej zarządu więziennego. Przestępcy polityczni od dawna już nie korzystają z przywilejów. Komuniści siedzą z nacjonalistami, za współtowarzyszów mają złodziejów i bandytów.

Żyd-kinder, o bladej twarzy męczennika, zakończonej klinową bródką, podrapał się w ostrzyżoną głowę i zgodził się melancholijnie:

— Tak, tak... Nie ma rady, towarzysze... Wstajemy.

Na łóżku, w prawym kącie celi, przy oknie nagle frunął do góry koc, odsłaniając siedzącą na brudnym sienniku postać studenta-narodowca. Młodzieniec ten, widocznie starając się opanować oburzenie, wyciągnął pięść w stronę Żyda i krzyknął:

— Słuchaj, jewreju: jeżeli jeszcze raz przy mnie powiesz „towarzyszu" — pamiętaj: mordę zbiję! Nie jestem dla ciebie towarzyszem!

— Co znaczy „nie jestem?" — zapytał flegmatycznie Żyd — wszyscy jesteśmy towarzysze niedoli więziennej.

— Nie wszyscy! — krzyczał student — ja cierpię za ideę, a ty za pospolitą kradzież! A więc coś ty dla mnie za towarzysz?!

— Panowie, nie zaczynajcie awantury — odezwał się atletycznie zbudowany Kozioł, który przed chwilą właśnie wstał i ściągał koszulę, aby przy otwartym oknie odbyć swoją codzienną gimnastykę systemem szwedzkim. Od czasu jak dostał się do więzienia za zabójstwo kochanka żony, twierdził, że na świecie wszystko jest względne. On jeden potrafił łagodzić nieporozumienia:

— Panowie, towarzysze i tym podobni! — zawołał — proszę, nie zakłócajcie spokoju, bo jak mi Bóg miły, mam słabe nerwy, wszystkich mogę wyekspediować do szpitala więziennego. Uważajcie: nie ręczę za siebie. Dyskusje polityczne lubię, ale bez grandy...

Więzień, nazywany popularnie „atamanem", oficer b. armii ukraińskiej, oskarżony o kilkanaście różnych nadużyć, zgwałceń i oszustw, uważający się za ofiarę środowiska, w którym pracował, spuścił nogi z łóżka i ryknął śmiechem.

— Z czego pan się śmieje? — zapytał student, podejrzewając, że Ukrainiec śmieje się z niego.

— Ja? Z niczego — odpowiedział ataman — ot, tak sobie, wesoło mi, więc się śmieję. — I znowu zaczął się śmiać.

Kos-defraudant spojrzał na niego lekceważąco i westchnął melancholijnie:

— Oj, panowie, panowie... Smutne to, ale prawdziwe: nasza cela, to właściwie dom wariatów, trudno tu porozumieć się z człowiekiem.

— A ty nie filozofuj — zwrócił się do niego Kozioł, który już na dobre szwedzkim systemem robił wypady i przysiady — lepiej obudź tego dżentelmena, śpiącego na podłodze, bo rano może dostać kataru... I zapytaj go, co mu się śniło. Ale zaraz, żebym nie czekał...

— Ano, trzeba — zgodził się Kos i z daleka krzyknął: — Panie prokurencie, wstawaj pan! Kozioł chce wiedzieć, co się panu śniło...

*) Terminologia więzienna: kom — komunista, nac — nacjonalista, suwaks — więzień nowicjusz, kinder — złodziej.

— Wiecie, panowie? Sprawa tego prokurenta zaczyna mnie interesować — zwrócił się do wszystkich Kos. — To nieprawdopodobna historia: zgwałcił sekretarkę, ale zupełnie inna osoba, którą nie zgwałcił, zrobiła doniesienie do prokuratora. Czekajcie, zapytam go: panie prokurencie, powiedz pan, jak to było?...

Prokurent, człowiek może czterdziestoletni, łysy, o dobrze zakonserwowanej twarzy, usiadł na sienniku, ale nie chciał mówić, miał minę śmiertelnie obrażonego dżentelmena.

— Panowie, proszę was uprzejmie, nie prześladujcie mnie — powiedział w końcu — nie wątpię, że to przykre nieporozumienie, którego padłem ofiarą, wyjaśni się w najbliższym czasie i wkrótce będę mógł panów pożegnać...

— Ho-ho! — zawołał Kozioł. — Tutaj mamy już takiego jednego: też pomyłka sądowa... Siedzi już trzeci tydzień. A ja głowę daję, że posiedzi dwa lata... Może Bozia da, że i pan, panie prokurencie, posiedzi z nami jakieś dwa - trzy lata i pozwoli czasem skorzystać z tych wałówek, jakie napewno regularnie będzie przesyłała ta pańska skrzywdzona sekretarka...

— Panowie! — jęknął prokurent — odwołuję się do waszej kultury, do waszego poczucia honoru: nie znęcajcie się nade mną...

— Prosimy uprzejmie... — odpowiedział Kozioł i złożył przed prokurentem elegancki ukłon, przy czym wszyscy parsknęli śmiechem.

Inni więźniowie zajęli się sprzątaniem celi. Słanie łóżek odbywa się szybko: pościel więźnia składa się z brudnego siennika i zagłówka, czyli kwadratowego, zgrzebnego worka, wypchanego słomą oraz jednego koca. Każdy rozkłada na łóżku koc, sienniki trzech więźniów, którzy nie mają łóżek, przesuwa się pod ścianę.

Silne uderzenie w wizyterkę od strony korytarza zapowiada apel. Więźniowie stają w szeregu. Ostry zgrzyt klucza, drzwi otwierają się na rozcież i na progu staje strażnik, niski chłop o typowej fizjognomii wieśniaka; przez chwilę badawczo rozgląda się po celi, dzwoni pękiem kluczy, okazując tym swoją władzę i, z właściwym sobie chłopskim akcentem, mówi: „dzin dobry".

Więźniowie skandują chórem:

— Dzień dobry, panie oddziałowy!

Gdy zamknęły się drzwi, Kozioł powiedział:

— Muszę wam oświadczyć, moi panowie, że taką władzę nad sobą mogę tolerować tylko w kryminale. I tylko w kryminale mogę z wami codziennie temu chamowi chórem śpiewać „dziendobry". Na wolności nie zniósłbym tego. Chociaż teraz, uważacie, podobno w ogóle taka jest tendencja na świecie, żeby do władzy mówić chórem...

— Racja: chórem i na jedną melodię — przytwierdził ataman.

A Kos-defraudant zaczął nawet opowiadać na ten temat, że gdzieś tam, w zagranicznym kryminale, to już tak jest, że więźniów uczą szczekać i na czworakach chodzić. Ale opowiadanie to, rzeczywiście bardzo interesujące, przerwał mu głos dzwonu na modlitwę. Sygnaturka kaplicy więziennej rozdzwoniła się alarmująco.

Więźniowie znowu ustawili się w szeregu, wzdłuż celi. Po chwili dzwon ucichł i na dziedzińcu rozległa się chóralna pieśń „Kiedy ranne wstają zorze", urozmaicona gwałtownym trzepaniem dywanów przez kucharkę pana naczelnika. Ataman wyjął z kieszeni wielki polski modlitewnik, przeżegnał się trzy razy, pocałował wizerunek swojego patrona i głośno zaczął szeptać po ukraińsku greckokatolicki pacierz. Kos-defraudant, głęboko wierzący Ormianin, pobożnie złożył ręce na wargach, wzrok utkwił nieruchomo w miniaturze Chrystusa na ścianie, pochylał się w pas i kornie bił się w piersi. Student-narodowiec modlił się, klęcząc na obu kolanach. Kom, nac, suwaks, Kozioł, prokurent i żyd nie modlili się wcale: kom ręce założył w tył; nac stał w postawie „spocznij" z ramionami, skrzyżowanymi na piersiach, jak Napoleon, przyglądający się pożarowi Moskwy, suwaks i prokurent opuścili zamyślone głowy, Kozioł stał jak kozioł, a żyd spoglądał to w lewo to w prawo i uśmiechał się ironicznie.

Ostatni skończył modlitwę student. Dawno już przycichł chór więzienny, a ten wciąż jeszcze klęczał z rękami złożonymi w taki sposób, jak prawdopodobnie niańka nauczyła go w latach dzieciństwa. Dopiero Kozioł przerwał mu tę żarliwą modlitwę:

— Panie szanowny — powiedział — pan, jak zauważyłem, zamierza robić nam konkurencję u Pana Boga, chcesz się pan dłużej modlić, czyli przypodobać Panu Bogu i w ten sposób uzyskać przedterminowe zwolnienie z więzienia. Zwracam panu uwagę, że to z pańskiej strony niesolidarnie. Jeżeli pan już masz taką babską naturę, że się tak wyrażę, i musisz się pan dłużej modlić, to — owszem, możesz się pan modlić, ale tylko na intencję ogólnej amnestii. Rozumiesz pan?

Student przeżegnał się szybko, wstał oburzony i, zwracając się do wszystkich, zapytał płaczliwym głosem:

— Proszę panów, czy to jest jaskinia zbójców, czy mimo wszystko lokal, w którym znajdują się ludzie?...

— Nie widzisz pan, co to jest? — zagadnął go ironicznie ataman — to salon, pan jesteś książę, a my — jaśnie panowie, zaraz nam czarną kawę podadzą, żeby przyjemniejsza konwersacja była... O, słuchaj pan, już niosą...

Rzeczywiście, otworzyły się drzwi i strażnik krzyknął:

— Kawa!

Więźniowie szybko ustawili się przy drzwiach, jeden za drugim, każdy z blaszaną miską i kolejno podchodzili do progu celi, gdzie stał kocioł, z którego więzień-kelner nalewał czerpakiem czarną kawę i rozdawał po ćwiartce razowego chleba.

— Chciałbym panów obiektywnie poinformować — odezwał się Kos-defraudant, gdy zamknęły się drzwi — że nigdzie na świecie w wytworniejszych lokalach nie podają do czarnej kawy razowego chleba... Zwyczaj ten przyjął się tylko w kryminałach.

Mówiąc to, Kos stał na środku celi, trzymając w rękach emaliowaną miskę, którą swoim zwyczajem przytknął ostrożnie do ust i pił kawę jednym łykiem, aż do dna, z fusami. Inni zasiedli na ławach po obu stronach stołu, zabierając się do śniadania. Razowiec, nazywany zdrobniale „burusiem", przy gorzkiej, czarnej kawie z trudem przeciskał się przez gardło. Ale nie wszystkim. Student, ataman i Kozioł otrzymali paczki z poza więzienia, mieli biały chleb i masło.

Kom, siedzący na przeciwko studenta, opychał się czarnym chlebem, z widoczną pogardą obserwując leżące na stole produkty. Ataman spojrzał na niego spod oka i odezwał się żartobliwie:

— No, tak... Właściwie mógłbym panu dać masła, ale nie mogę tego zrobić, bo pan jesteś ateista, a religia nie pozwala wspomagać heretyków. W dodatku jesteś pan podejrzany o komunizm. Rozumie pan: w takich warunkach nie mogę panu dać masła, bo to zakrawałoby na „czerwoną pomoc". Ha, trudno: musisz pan wsuwać postny, razowy chleb...

Kom, zwykle usposobiony melancholijnie, gwałtownie zerwał się z ławy:

— Panie! — zawołał — zabraniam panu dowcipkować na temat mojego ateizmu. Jestem ateistą, bo tak mi się podoba. A pan jesteś modlącym się kretynem. Zrozumiano? A więc wcinaj pan swój chleb z masłem i do mnie — ani słowa!

Nastąpiła konsternacja. Kom usiadł i jakby dla zadokumentowania, że nie zazdrości atamanowi masła, napchał pełne usta razowego chleba. Więźniowie uśmiechnęli się dyskretnie.

— Ot, widzicie go? Jak to się zagalopował! — odezwał się zmieszany nieco ataman. — Słyszeliście? Ma temperament, co? Ale pies mu mordę lizał: masła nie dostanie. Ateistom i heretykom nie pomagam. Tobie też bym dał masła — zwrócił się do uśmiechającego się z nad miski naca — ale nie dam, bo w czasie modlitwy stoisz jak dureń, nawet się nie przeżegnasz, chociaż jesteś moim współwyznawcą, czyli grekokatolikiem.

— Nie masz racji, atamanku — odpowiedział potulnie nac. — Widzisz, ja w duchu się modlę, nikt nie widzi, a ja modlę się po cichu, w duchu...

— A cóż ty taki dyskretny? — zdziwił się ataman — nawet nie raczysz okazać, że się modlisz? Nie, przyjacielu, widocznie chcesz mnie nabrać podstępnie na masło, ale ja za stary wróbel jestem. Jeżeli chcesz się modlić, — zgoda, dostaniesz masła. A jeżeli nie — przepadło, masła nie dostaniesz...

— Panowie, towarzysze i tym podobni! — zawołał znowu Kozioł, który skończył śniadanie i zabierał się właśnie do mycia miski — uważam, że ataman nie powinien występować w więzieniu w roli misjonarza, bo mu nie starczy masła... Czy mam rację?

— Racja! — zawołało kilku więźniów.

— A więc postanawiamy: — mówił Kozioł — od dziś nie wolno atamanowi uprawiać w celi agitacji religijnej. Więzienie jest jedynym miejscem na świecie — trzeba wam wiedzieć — gdzie obywatel powinien mieć prawo do zachowania wolności sumienia oraz przekonań religijnych i politycznych... Zrozumiano? Za karę skazujemy atamana: na jednorazowe zjedzenie swojego masła i sprzątanie celi.

Atamanowi było nieprzyjemnie. Uśmiechnął się i wyszedł na środek celi.

— Przyjmuję wyrok — powiedział żartobliwie — ale masła mam kilo, więc jedzcie wszyscy, pies z wami tańcował, możecie się nie modlić...

Nikt jednak nie rzucił się na masło. Wszyscy siedzieli na ławkach i łóżkach, a skazany na sprzątanie ataman zaczął zamiatać celę. To prawie cała robota: zamieść celę, wybierować podłogę, zetrzeć kurz z półek, wyszorować miednicę, a poza tym trzeba było jeszcze tak długo ostrzyć rączkę łyżki na żelaznym piecu, aż zrobi się z tego nóż jak brzytew... Bo w celach nie ma noży. Ale to prawdziwie syzyfowa robota.

Po sprzątaniu Kos-defraudant powiedział:

— Panowie, pukam...

C. d. n.

Jak żyła i używała dawniej elita

Mówiąc o elicie, mam na myśli dawny stan szlachecki, oczywiście szlachtę zamożną, siedzącą na licznych włościach. Ukazała się właśnie nakładem „Roju" emocjonująca książka J. Straszewskiego pt. „Życie codzienne i świąteczne Waszmość Pana i Jejmość jego małżonki", przedstawiająca na podstawie pamiętników życie naszych przodków. — Książkę tę czyta się z mieszanymi uczuciami. Wściekłość i oburzenie ogarniają przy niejednej kartce, gdy śledzimy rozrzutność i lekkomyślność antenatów, kiedy jednak autor przechodzi do cech czysto obyczajowych i w nader umiejętny sposób zestawia barwny, za barwny powiedzieć można, film życia minionych czasów, opowiadanie porywa nas i oszałamia.

Życie codzienne i świąteczne szlachcica, choć niejednokrotnie już było przedmiotem prac czysto naukowych, ukazuje się w tym zbiorze szkiców jakby w nowym świetle. Dzieje się to dzięki umiejętnemu doborowi faktów, a przede wszystkim dzięki niezrównanemu stylowi gawędziarskiemu autora.

Nie kusząc się o streszczenie tej książki, opatej na starych, z XVIII w. pamiętnikach polskich i zagranicznych, postaramy się skreślić fragmentarycznie kilka odcinków dawnego życia codziennego i świątecznego.

Monotonnie upływało dawniej życie po dworkach szlacheckich, jeżeli gości w domu nie było. Dzień zaczynał się ze świtem. Wszystko zrywało się na nogi, gdy kukułka na ściennym zegarze oznajmiała godzinę piątą. Ponieważ jednak zegar był dość drogi, rolę jego spełniał często... kogut. Bywał on niekiedy zamknięty w klatce i umieszczony w alkierzu, by tym donośniej rozległ się jego apel.

Kawę na śniadanie pito tylko po możnych dworach i w Warszawie, a herbata uchodziła za lekarstwo. Rannym posiłkiem była polewka winna, albo rosół, niekiedy wódka, którą zagryzano bigosem hultajskim, lub kiełbasą. Jeszcze przed obiadem, który podają najpóźniej o dwunastej, gospodarz zagląda zwykle do kieliszka. Stół jest obfity, ale niewybredny. Podają barszcz z rurą, rosół z kury, przerastaną sztukę mięsa z chrzanem, ulubioną i najpopularniejszą potrawę, wędzonkę z grochem, tuczonego kapłona, smaczną gąskę itp.

Ludzie byli w owych czasach żarłokami nie tylko w Polsce. Ludwik XIV zjadał np. na jedno posiedzenie kilka talerzy rosołu z mięsem, talerz mięsa baraniego z cebulą, dwa wielkie kawały szynki, całego bażanta i kuropatwę, talerz sałaty i dwa talerze deseru, a poza tym jeszcze owoce i konfitury. To menu wydaje

się dziś wręcz nieprawdopodobne, a jednak jest ono prawdziwe. Odpowiednio do apetytu dopisywało też dawnym ludziom pragnienie.

Po obiedzie jegomość udawał się na spoczynek i spał smacznie, a małżonka zadowalała się drzemką. Wieczorem kolacja znowu jest obfita, ciężko strawna i tłusta. Zajęciem szlachcica jest troska o psiarnię i konie, oczywiście w chwilach wolnych od życia publicznego.

Zmienia się obraz domu, gdy zjeżdżają goście. Drogi są wprawdzie w owych czasach straszne, ale dobry obyczaj wymagał, by składać sobie często wizyty. Niektórzy panowie czatowali nawet specjalnie na szlachtę przejeżdżającą przez jej posiadłości, aby ją zaprosić do kompanii, co było równoznaczne ze straszliwym pijaństwem. Gościna trwała przeważnie kilka dni, nieraz i tygodni. Bywało, że gospodarz nie puszczał gościa i że trzeba było nawet z karocy wysiadać i wracać, ale niekiedy gość bywał też utrapieniem gospodarza, zwłaszcza, gdy zapasy w spiżarni kończyły się, a wino gruntownie wysączono. Kartki poświęcone opisom gościnności i różnym anegdotom zajmują sporo miejsca w tej książce.

Zajmijmy się niektórymi manierami dawnej średniozamożnej szlachty. Magnat tytułował nawet najbiedniejszego szlachcica „panem bratem". Był to jeden z symbolów równości szlacheckiej, gdy mieszczanina tytułowano w listach tylko przyjacielem. Nie wolno było jednak zapomnieć o żadnym tytule, choć były one przeważnie fikcyjne i kupione za skromne pieniądze przy niewielkiej protekcji. Do wyżej postawionych mówiono „jaśnie oświecony", lub „jaśnie wielmożny", ale szlachcicowi, który nie miał żadnego urzędu ziemskiego, nie należał się nawet tytuł „wielmożny". Mąż tytułował żonę „jejmość małżonką", ta zaś męża „imci panem małżonkiem" lub „jegomością" i nierzadko całowała go w rękę (tak!).

Specjalne odznaki czci należały się rodzicom. Syn, witając rodziców, zginał jedno kolano, córka — oba. Po dłuższym niewidzeniu się, przy podziękowaniach, czy przeprosinach, padano rodzicom do nóg, całując je i nierzadko zlewając łzami, które zawsze miano wtedy na pogotowiu. Syn nie siadał w obecności ojca, czy teścia, bez ich zezwolenia. Ojciec trzymał synów mocno i dość często, nieraz i codziennie, przydzielał starszym po 25 dyscyplin, a młodszym po 15. Nawet po ożenku syn musiał jeszcze słuchać ojca.

Gości witano w specjalnie uroczysty sposób. Anglik Coxe, który przy końcu 18-go wieku zwiedzał Polskę, powiada: „Zwykły sposób Polaków wzajemnego pozdrawiania polega na tym, że skłaniając głowę, jedną rękę kładą na sercu, a drugą zginają ku ziemi. Kiedy ktoś niższy rozmawia z dostojną osobą, schyla głowę prawie do ziemi i bez mała dotyka jedną ręką pięty tego, któremu chce oddać cześć". Ściskanie kolana, ucałowanie ręki, a nawet padnięcie plackiem do nóg magnatowi było u zwykłego szlachcica rzeczą niemal zwyczajną. W miarę wzrostu zależności mniejszych od większych, zrodziła się przesadna uniżoność.

Gdy goście byli w domu, gospodarz musiał pierwszy wstawać i wszystkich odwiedzać pokolei rano w ich pokojach. Przy stole każde zdrowie pito stojąco i bez czapki, którą pozostawiano na głowie, siadając do stołu.

Kobiety, choć w domu tyranizowano je, otaczano wobec obcych odznakami szczególnej galanterii. Kawaler zbliżał się do damy zawsze z niskim ukłonem, z czapką w ręku i dwornym komplimentem na ustach. Całować ręki bez ceremoniału nie wolno było. Trzeba było położyć czapkę na dłoni i wyciągnąć ją ku damie. Dopiero kiedy dama raczyła oprzeć na niej swą rączkę, wolno było złożyć uroczysty pocałunek. Podobne ceregiele z czapką wyczyniano przy wręczaniu kobiecie upominku, co poprzedzały często długie mowy. Utrapieniem kobiet było też picie ich zdrowia z ich trzewiczków. Po takiej rycerskości (dziś nazwalibyśmy coś podobnego poświęceniem, ale dawniej miano o higienie inne zupełnie wyobrażenia) atłasowe buty stawały się niezdatne do użytku.

Straszewski opowiada w poszczególnych rozdziałach, jakie apetyty mieli nasi pradziadowie, jak kielich i szabla często ze sobą się przeplatały, jak szlachcic bywał rozmyślnie rozrzutny w dawaniu upominków i jak naodwrót często musiał też podarki przyjmować, jak odbywały się dawniej podróże kolasami, kolebkami i karocami, jak opalano dawne mieszkania itd. Dowiadujemy się wkońcu, jak wyglądała toaleta rokokowej pani i jak się stroił kawaler, zarówno ten, który hołdował modzie francuskiej, jak i szlachcic, przywiązany do tradycji, jakie były modne choroby w onych czasach, co to takiego były spazmy kobiece, a wreszcie, jak waszność pan sprawy publiczne odprawia. Szkoda tylko, że brak ilustracyj, które bardzo by się przydały i że autor unika wszelkich dat, a także nie krępuje się zanadto chronologią wydarzeń.

Niewątpliwie książka rychło się rozejdzie, bo treść jej wywoła zainteresowanie u wszelkiej kategorii czytelników. Lektura ta przyda się nawet takim, którzy z powodu nawału zajęć zawodowych edukację książkową pozostawiają żonie i dzieciom. Rzecz cała tylko na tym polega, aby książki nie czytać jako dokumentu sensacyjnego, żeby nie prześlizgać się po kuriozach, ale aby je przemyśleć i by z trybu życia dawnej elity wyciągnąć niejeden praktyczny wniosek na dzień dzisiejszy. Książka jest nader aktualna. Pośrednio daje bowiem odpowiedź, **dlaczego w pewnym momencie Polska nie była w stanie oprzeć się miłym i kochanym sąsiadom ze wschodu i zachodu.**

CIVIS.

ŚWIAT NA OPAK

Panowie! Nas się okłamuje!

Nigdy życie publiczne nie było w takim rozbracie z prawdą, nigdy kłamstwo nie święciło takich orgij, jak dziś, w okresie poczty, telegrafu i telefonu, wszechpotęgi prasy, radia i dzienników filmowych. Dziś, gdy każda wiadomość może w przeciągu kilku minut, ba nawet niespełna minuty, przedostać się na drugi kraniec świata i być udostępniona równocześnie milionom w tym migawkowym terminie, żyjemy w takiej oficjalnej atmosferze kłamstwa, jakiej nie było ani przed stu, ani przed tysiącem lat.

Wynalazki, które miały przynieść ludzkości prawdę, prasa która miała szerokiemu ogółowi, w różnych krańcach kraju rozrzuconemu, dostarczać prawdziwego obrazu wydarzeń, radio, które miało prasę w tych wysiłkach poprzeć — wszystkie te potęgi sprzysięgły się przeciw PRAWDZIE. Epoka słynnych czarnych gabinetów wygląda jak niewiniątko w zestawieniu z dniem dzisiejszym, a fakty o tyranii jednostek stają się niemrawą bajeczką w obliczu wydarzeń, jakich jesteśmy świadkami w wielu krajach, w obliczu faktu zorganizowanych metod rządzenia, urągających prymitywnym poczuciom ludzkości.

Rola prasy i radia została wypaczona. Instrumentów tych używa się coraz powszechniej do p r o p a g a n d y i to nie do propagowania prawdy, ale do wpajania w umysły wszystkich: wielkich i maluczkich, dorosłych i dzieci, inteligentów i półanafalbetów — tego, co służy danemu systemowi, co pewne czynniki chcą, aby za prawdę u c h o d z i ł o. Robi się to z niezwykłą perfidią i cynizmem, wszystko oczywiście w imię wielkich i chwalebnych haseł, wszystko z myślą o dobru powszechnem, czy dobru narodu.

Na całym świecie namnożyli się nieoczekiwanie d o b r o d z i e j e, a pierwszym z reguły dobrodziejstwem, jakie narodowi proponują — jest wyłączenie mózgów. Dobrodzieje ci radzą dobrotliwie i troskliwie, aby obywatel nie zamęczał się skomplikowanemi zagadnieniami politycznymi i społecznymi, ale, aby te kłopoty dobroczyńcom swoim pozostawił. Radzą mu po dobremu, a kto jest na tyle niedelikatny, aby np. w Niemczech czy Włoszech nie posłuchać, kto ma o d w a g ę n i e z a l e ż n i e myśleć, dla tego wynaleziono jako miejsce kontemplacyj — obóz koncentracyjny. Dla koncentracji myśli. Druty przed obozem mają unaocznić obywatelowi realizm: niczego nie wymyślisz, jesteś osaczony, nie wyzwolisz się z błędnego koła, dopóki nie złożysz dobrowolnie broni, jaką jest twój mózg i dopóki nie zgodzisz się, aby inni ciebie w tej pracy wyręczali. Ty jedz, pij i pal, co Ci na brotkarty wydadzą, za to geniusze, którzy o Tobie myślą, są nawpół duchami: nie piją, nie palą i mięsa nawet nie jadają. Te eteryczne, myślące istoty są z góry predystynowane do specjalnych zadań...

Przejdźmy jednak do dziedziny faktów. Prasa angielska, nie socjalistyczna, ale konserwatywna, czyli rządowa, podaje codziennie niemal depesze o włoskich i niemieckich transport broni do Hiszpanii gen. Franco, w Izbie Gmin rozlegają się co pewien czas na ten temat interpelacje, a tymczasem wszyscy ministrowie jak z nut deklamują, że panuje nieinterwencja... W wytwornym gabinecie schodzą się w miarę potrzeby wytworni panowie, każdy z nich posiada przy sobie autentyczne raporty, ilu żołnierzy i broni sprzymierzeńcy posyłają „swoim" do Hiszpanii. każdy z nich wie, że nieinterwencja jest najnędzniejszą farsą, jaką zna historia, a jednak szanowne to zgromadzenie nie rozlatuje się, ale w permanencji urzęduje drugi już rok.

Najbardziej zasłużeni dla reżimu bolszewickiego ludzie są w pojedynkę lub grupami wyławiani i pod sąd stawiani. Każdy wie, że jest rzeczą wykluczoną, by większość tych ludzi mogła popełnić potworne i po wschodniemu skonstruowane zbrodnie, o które się ich oskarża, a jednak żadne państwo nie ogłosiło, że zrywa stosunki z państwem rządzonym na za zasadach hotentockich i nawet Liga Narodów nie uznała za stosowne słowa pisnąć, bo to są sprawy wewnętrzne...

Oficjalne czynniki niemieckie ogłaszały triumfalnie, że tegoroczne Targi Lipskie prześcignęły swoich poprzedników, a tymczasem jakiś fabrykant, którego ogłoszenia cenzura przeoczyła, podał, iż jego tylko dział należał do tych, które nie wypadły gorzej, ale lepiej niż w latach minionych.

O wojnie japońskiej w Chinach każdy inteligent polski miał urobione zdanie, dopóki sprawy nie wzięli w Polsce w ręce swoje PAT i Polskie Radio. Obie te instytucje potrafiły w ciągu kilku miesięcy, w niewiadomo czyim interesie, przeorać psychikę polską i wydana ostatnio, nie wiadomo za jakie pieniądze w Warszawie broszura o „Ruchu komunistycznym w Chinach" znajdzie zapewne popleczników.

Anonimowy autor opowiada, jak to „Komitern wyzyskuje umiejętnie Ligę Narodów dla swoich celów", podkreśla, że „dzisiaj jak i w przeszłości przywiązuje Japonia wielką wagę do treści i znaczenia prawa międzynarodowego, do traktatów" (czy może dlatego, że wojny nie wypowiedziała, ani po najeździe na Mandżurię ani teraz? Czy to jest przewidziane w traktatach międzynarodowych?), a kończy szlachetną polszczyzną: „Japonia praktykuje politykę narodową". Broszur równie inteligentnych za pieniądze z tych samych źródeł wyszło już trzy, a dalsze są w opracowaniu.

Przez miesiąc cały zbierałem skrzętnie wszystkie wypowiedzi polityków, mowy posłów, komunikaty z frontów, na których oficjalnie wojna się nie toczy, sprawozdania z zebrań najrozmaitszych i czerwonym ołówkiem podkreślałem, co było fałszem, niebieskim, co frazesem wyświechtanym, a zielonym, co prawda. Skrupulatnie konfrontowałem słowa wydrukowane w dziennikach z prawdą obiektywną, ale po miesiącu dałem sobie spokój. Zużyłem dwa tuziny ołówków czerwonych, cztery sztuki niebieskich i niemal że nie naruszyłem zielonego. Co gorsza, wycinki z jednego tylko miesiąca wypełniły ogromną szafę, a ja czułem z każdym dniem, jak tracę zmysły. Zapomniałem, na jakim żyję świecie, powątpiewałem w istnienie zdrowego rozsądku i dochodziłem do przekonania, że jeszcze kilka dni takiej igraszki, a skończę jak bohaterowie bajek, którzy odważyli się, wbrew zakazom, poznać PRAWDĘ. Te bajki, które wyhodował każdy niemal naród, nie są nonsensem. Dziś szczególnie zawierają głęboką prawdę.

Są siły na świecie, którym nadewszystko zależy, abyśmy byli stale okłamywani, ktoś trzyma Europę i Azję i Amerykę pod kloszem, ktoś narkotyzuje nas nieprzerwanie zatruwając nas fałszywymi wiadomościami, ktoś hoduje nowy typ h o m u n c u l u s a. Będzie to twór, który na komendę będzie tańczył, będzie gadał, będzie pisał, ale myśleć samodzielnie nie będzie.

Mimowoli nasuwa się złośliwa trochę parafraza pierwszego wiersza „Reduty Ordona":

N a m m y ś l e ć z a k a z a n o...

—o—

SPRAWY KULTURY

S. O. S.

Cicho, jednostajnie, ale tymbardziej zwracająco uwagę, jak syrena fabryczna brzmi ostrzegawczy i wzywający sygnał:... znaczenie teatru upada... zainteresowanie teatrem słabnie. S. O. S.!

Sygnału tego nie wysyła tylko teatralna stacja nadawcza. Ten sygnał wysyłają równocześnie prawie wszystkie dziedziny artystyczne. Muzyka, literatura, plastyka...

Wina leży w obecnych stosunkach. Winna jest publiczność, która do teatru nie chadza, winni są ludzie, którzy książek nie czytają. Nie, — czytają, tylko nie kupują. I to czytają coraz więcej, zaś krytykują ze zdwojonym wyczuciem, jakby i kupowali i czytali, tak, jakby dzisiejsza publiczność była poprostu bardziej rozwinięta; inteligencją stała na poziomie autora, a wyżej od rzeczy czytanej. Ale to już osobista sprawa autorów i czytelników. Natomiast inaczej przedstawia się kwestia teatru, ponieważ teatr jest własnością ogółu.

O ile dawniej skupiał na sobie myśl i wymagania publiczności, o tyle dziś, z dnia na dzień, staje się tylko dodatkiem i żyje automatycznym tempem, jakie dano mu — powiedzmy — kilkadziesiąt lat temu.

Podobno publiczność żąda zbyt dużo. Publiczność zawsze żąda za dużo ale nie ponad możliwość. Zresztą zawsze żąda czegoś — innego. Każda, najwznioślejsza nawet dziedzina, jeżeli obliczona jest na kontakt z publicznością, jeżeli podlega jej krytyce i od niej zależy, musi być oparta choćby na minimalnej kalkulacji kupieckiej. Musi więc zwracać baczną uwagę, by publiczności tej odpowiadać, a szczególnie w dziedzinach sztuk wszelkich — by dostosować się do jej wymagań.

Nasz wiek, to podobno wiek naturalizmu, jakkolwiek nie bez racji niektórzy utrzymują, że dziś stoimy raczej na jego przełomie. Dążenie do naturalizmu przechodziło już swoje różne fazy, poprzez sztuczność Wersalu i teatralny gest przewódców Wielkiej Rewolucji, ale w żadnej dziedzinie nie pracowano tak wytężająco nad uchwyceniem jego istoty, jak w sztuce teatru. Może to wydać się paradoksem, ponieważ sama nomenklatura przeczy, a dowodzi, że jest czemś, co nie dla każdego zdaje się być dostępne. Zadanie dość trudne, jednak uparcie postanowiono zbadać tajemnicę tego paradoksu, i z biegiem lat, faza po fazie, uciążliwą pracą i poszczególnym wysiłkiem fanatyków reżyserskich, wprowadzano na scenę coraz to nowe atuty „chwytania życia na gorącym uczynku". Zdawało się, że to jest alfą i omegą wymagań sceny. Zrzucenie maski, odsłonięcie twarzy, z której starto szminkę, wyzwolenie z tradycyjnych kanonów gry aktorskiej. Gdy Eleonora Duse jedna z najpierwszych odrzuciła wszystkie uświęcone prawidła i stanęła na deskach jako człowiek zwykły, człowiek wzięty z dramatu życia, nie dramatu sceny, na widowni powstał początkowo szmer niezadowolenia. Pozbawiono publiczność przyjemności sztuki, oderwania od codzienności, dano jej coś, co widzi na każdym kroku po wyjściu z teatru, po powrocie do domu. Ale przewrót następował szybko. Szedł śmiało naprzód bez zastanowienia. Zapomniano kim była Duse, pamiętano tylko, że odrzuła szminkę. Dawna forma przestała bawić, nie publiczność, ale reżysera i aktora.

Taka ewolucja w teatrze nie była znów wytworem nowym. Pierwszych jej kroków należałoby szukać w zwalczaniu trzech jedności klasycznych. Ale dzięki osobistemu przekonaniu, że jest właśnie wytworem zupełnie nowym, stworzono w teatrze pewien szablon, który przez dziesiątki lat dawał przecież najwspanialsze kreacje. Po tych dziesiątkach lat, nagle spojrzano na niego z zupełnie innego punktu i postanowiono go zwalczać. Wszystko jedno co — byleby pozbawić teatr sztuczności. Scena przestała się liczyć z widownią. Przestano zwracać na nią uwagę. Widownia stała się czwartą, imaginacyjną ścianą, do której można odwrócić się plecami i do której nie trzeba zwracać się słowami. A publiczność nie lubi gdy odwracać się do niej tyłem, gdy słowa rzucane są w przestrzeń, dla siebie, do partnera, byle tylko nie do rzędów pierwszych..., trzecich..., dziesiątych... i galerii... Te znów, nie mogą być brane w rachubę, bo z chwilą gdy się je zauważy, powstaje istota teatru: scena i widownia. Podświadomie, czy świadomie, zaczęła się intensywna praca nad zatratą tej istoty. Wciągnięto na scenę ulicę, oddano wiernie jej realistyczne światła nocy i cienie dnia. Wtargnięto do mieszkania przeciętnego człowieka, wydarto mu nieciekawe zresztą własne, szare przeżycia. Wyciągnięto na scenę i rzucono publiczności w oczy. A oczy te zaczęły się odwracać. Nie po to przyszły do teatru, kupiły bilety, włożyła odświętne ubrania, by przez dwie, trzy godziny karmić się tym, co mają każdego tygodnia, każdego dnia, każdej godziny — koło siebie. Rząd pierwszy, trzeci, dziesiąty i galeria, westchnął cicho, zatęsknił do majaczących w blasku świec lalkowatych figurynek pań Truskolaskich, do amantów kryjących się we framugach okien, to za kotarami, że można było krzyknąć z widowni: „...tam... tam się schował!"; do czarnych charakterów, karanych sprawiedliwie ręką Nemezis, do birbantów, fircyków, do tych mówiących „na stronie", do monologów kierowanych wprost do zapomnianych dzisiaj rzędów, do sytuacji prawdziwie teatralnych, niespodziewanych powikłań i rozwikłań intrygi. Jednym słowem, do całego szeregu drobiazgów, dodatków, stanowiących właściwe dopełnienie tego prawdziwego teatru. A ten dawał właśnie chwilowe, zawsze miłe zapomnienie, przeniesienie na kilka godzin w świat inny, nierealny, lepszy od rzeczywistości, a jeżeli nie lepszy, to przynajmniej taki, jaki w zasadzie prawdą nie jest, ale nia być może. Tak, jak mądra żona, albo mąż karmiony doświadczeniem, publiczność lubi być okłamywana.

Ale z tym przestano się liczyć, tylko zaczęto gorączkowo powtarzać: teatr trzeba zreformować..., teatr potrzebuje reformy... I dlatego, istota i cel teatru zostały pokonane. Ale z właściwą rzeczom abstrakcyjnym złośliwością, zareagowały tym razem sprawiedliwą zemstą. Publiczność odsunęła się od teatru. Teatr przestał przyciągać. To, co dawniej było jego największym urokiem — sztuczność i oderwanie od rzeczywistości, iluzja życia innego, piękniejszego — zniknęło. Poco chodzić do teatru, kiedy padają w nim słowa gorzkie, płaskie, kiedy widzi się rzeczy kopiowane z codziennego zdarzenia. A właśnie ci ludzie, ich oryginały, przyszli do teatru, by o sobie zapomnieć, by życia swego nie widzieć.

Dawniej, w teatrze uczono. Dziś, raczej możnaby uczyć. Aktor stał się człowiekiem zwykłym, ciężkim pracownikiem ciężkiego zawodu. Pozbawiono go fantazji i kaprysu. Realistyczne traktowanie gry aktorskiej pociągnęło za sobą częściowe zatracenie estetyki ruchów. Zaczęto się silić na naturalność, uważając, że każdy ruch piękny, ruch dbający o czystość linii, jest przebrzmiały. Afektowany. Zapomniano powoli o wielkim geście aktora. Artystki, te dawne, o których dziś śpiewa tylko legenda kulis, bez względu na możliwości, jakie wynosiły ze swego życia prywatnego, na scenie były zawsze dogaressami i to wielkimi dogaressami. Dziś, według jakichś tam kanonów, aktorka w życiu może być dogaressą, ale na scenie często źle wychowaną dziewczyną. Sarah Bernhard, Modrzejewska, nawet jeszcze należąca do dzisiejszych, Sorel, gdy umierały w Damach Kameliowych, żegnały się w Safo, odchodziły w Norach — umierały, płakały, odchodziły, — pięknie. To miało swój urok dla publiczności, która właśnie tego żąda, na to przyszła. Chce serca żywego, prawdziwego uczucia, a sztuczności gestu. Chce płakać prawdziwymi łzami tam, gdzie w codziennym życiu oczy ma zaczerwienione, lecz suche. Chce usłyszeć słodki lament serca, którego w swoim życiu może nigdy nie usłyszy. Chce mieć choć jedną chwilę szczęścia i bólu, bo to szczęście, które ją spotka jutro, za rok, nie będzie wyczute tak, jak tu, na scenie. Ból, który przeszywa dusze i mózgi ludzi zwykłych, jest bólem rozumu — nigdy sentymentu czułego, jaki słania się po scenie. Dzisiejsza aktorka gdy umiera, płacze, odchodzi — jest realistyczna, jest taką, jaką mogłaby być i ta pani siedząca w rzędzie pierwszym, i ta z trzeciego, z dziesiątego, i ta z galerii. Jeżeli w kwestiach wypowiadanych jest poezja, zatraca ją, pozbawia poezji. Sama odziera się z wdzięku, w którym przecież przez tyle, tyle lat było jej tak do twarzy! Ktoś raz powiedział, że teatr jest syntezą wszystkich sztuk w ruchu. Być może, jednak nie widzi się tego w dzisiejszym ujęciu. Dziś ewentualnie zostaje tylko talent, bo ten nie da się okryć niczem, ani ująć w więzy. Ale talent wybucha w słowach, ruchu — jak ogień. A taki ogień dziś, nazywa się pogardliwie patosem, „zgrywaniem się". Piękne pojęcie sztuki — zginęło. To, czem teatr przyciągał, usunięto ze sceny, jak dekorację niepotrzebnie przymocowaną świderkiem.

Powodzenie osłabło, zaciekawienie znikło. Zaczęto więc szukać przyczyny. Gorączkowo, prędko. Winę zwalać na widownię. A byle ją przyciągnąć, zapoczątkowano wyścig za emocją, łatwą, prędką i tanią — rzucono się na sensację, zapominając zupełnie o właściwej istocie teatru. O sztuce. Ach, sztuka! była, była... dziś niepotrzebna, jedyne zbawienie to atrakcja. Zaczęto się wprost przypodchlebiać widzom.

Między sceną a widownią jest rampa. Mały, wystający brzeg deski. Obok budka suflera. Ta deska była świętą linią, stwarzającą nieprzekraczalną granicę — sztuki i rzeczywistości. Była czemś, co dla zahipnotyzowanego widza oznaczało próg nienaruszalny. Tymczasem zerwano rampę, odczarowano jej urok, połączono scenę z widownią. Odarto widza z jego ostatnich złudzeń, które jednak były mu tak do życia potrzebne, jak były potrzebne dla wartości teatru. Tajemniczość, może największy magnes — zniweczono. Nie pozostało już nic z uroku. Tak, jak wprowadzono na scenę codzienność, tak wprowadzono widownię na scenę i scenę na widownię. Ludzie, zaś, musieli wystarczyć sami sobie, stracili wzór, który nierzadko był im wytyczną. Aktor kiedyś był dla nich jakby uosobieniem człowieka z tego niedostępnego „innego świata", noszącego na sobie nawet jakby pewien stygmat kapłaństwa wielkiego obrządku. Dziś, ten aktor zszedł z Olimpu do kawiarni. I dla wymagającej złudzeń publiczności, zamiast pić nektar i czytać Corneille'a, albo już w najgorszym razie pić szampan i przegryzać złotopuszyste brzoskwinie, zasiada z Kurierkiem w ręku przy czarnej kawie, za którą płaci potem całych 65 groszy (we Lwowie. W Warszawie drożej, a gdzieindziej — nie wiem).

Nikt może nie uchwycił tak trafnie przyczyny upadku istoty teatru i jego siły przyciągania, jak Hemar, mówiąc w „Firmie" o aktorach... stałyście się urzędniczkami teatru... — jak wy się ubieracie, jak żyjecie..." Trzeba przyznać rację dowodzeniom hemarowskiej garderobianej, wspominającej dawne, dobre czasy. Szarość codzienności pokryła iluzoryczną wartość teatru. Legendarne, pławiące się w swobodzie cygańskiego życia istnienie aktorów, przerodziło się stopniowo w pewną i hipokryzję, i ambitne dążenia do drobnomieszczańskiej, choćby burżujskiej, urzędniczej wegetacji. Zwykłe, bezbarwne typy odtwarzane na scenie, przeszły w nawyk. Aktor, istota nieuchwytna, lekka, wiodąca życie efemerydy, łątki, przestał być sobą, a tym samym być atrakcją. I to może jest jedną z najważniejszych przyczyn, dlaczego teatr nie wzbudza dziś zainteresowania.

Ktoś, stojący blisko teatru, rzucił

Oświadczenie

P. Kazimierz Bogdanowicz oświadcza imieniem redakcji czasopisma „Wola i Czyn" iż redakcja przyjmuje do wiadomości wyjaśnienia p. senatora Sicińskiego w sprawie udziału jego w zarządzie stow. Chrześć. Narod. Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i oświadcza, że artykułem umieszczonym w Nr. 6 czasopisma „Wola i Czyn" z 20. 10. 1937 pod tyt. „Trzeba być konsekwentnym" miała redakcja intencję zwrócić jedynie uwagę na rachunkowość i gospodarkę wymienionego stowarzyszenia, natomiast nie miała zamiaru uczynić ujmy prezesowi Michałowi Sicińskiemu w jego pracy społecznej, — wobec czego o ile wspomnianym artykułem czuje się dotkniętym wyraża redakcja żal za mimowoli wyrządzoną przykrość oświadczając zarazem, że nie podtrzymuje stawianych mu w tym artykule zarzutów.

—o—

raz: przyczyna upadku leży w tym, że nie ma gwiazd i talentów. Nie prawda, talenty są, tylko nie mogą rozbłysnąć na tym poziomie, do którego im dojść pozwolono. Nie mogą rozbłysnąć w sztukach, które nic, prócz liczenia właśnie tylko na talent aktora, nie dają. Interpretacja! ale prócz interpretacji trzeba jeszcze treści, myśli — materiału do interpretacji.

Zamknięto się w sobie, zasklepiono w własnych sądach. Aktor jest dziś często mierzony raczej miarą kulis i ich wymagań, aniżeli wymaganiami widowni. A gwiazdy! W szablonowym tego słowa znaczeniu, są ale w kinie. Istnienie swe zawdzięczają sztucznej atmosferze, doskonale skalkulowanej reklamy. Łatwością swą i iluzją, kino zabiło początkowo teatr, ale dziś zanadto zbliża się do niego, i to tego przebrzmiałego, który minął... by nie stać się już poważną konkurencją. Zresztą powoli i kino się znudziło...

Ale dzięki kinu, w łatwej, tanim efektem zyskanej popularności, zatraciła się w teatrze żywym oryginalność kreacji. Nie ma kreacji samorzutnych. Są tylko kreacje wzorowane. Aktorzy, z nielicznymi wyjątkami, stracili swój wyraz, przestali pojmować doniosłość stylu aktorskiego. Świadomie, czy podświadomie, podporządkowują się... Grety Garbo, Clarke Gable, Marleny, Crawfordty... Trzeba wziąć pod uwagę, że dawniej, dawniej, gdy kino jeszcze nie istniało, a teatry oświetlano gazem, tych gwiazd było kilka. Zaledwie kilka. Dziś kino namnożyło ich całe szeregi. Co niedziela, to ilustracja — nowa gwiazda. Konkurencja trudna. Ale wzorując się na nich, malując włosy na platynę, na boskie złoto, a brwi wygalając w wysokie cienkie łuki, może należałoby się zastanowić, czy te okrzyczane gwiazdy, są w rzeczywistości gwiazdami. Wieść, dolatująca nas z za oceanu, przetapiana i cyzelowana przez managerów, może jest również pracowitym wytworem reżysera. Może efektowna całość wychodzi dopiero po zmontowaniu, w trudzie wypracowanych poszczególnych scenek. Nie wiemy również, czy te same gwiazdy przeniesione w ciągłość gry żywej, sztuki żywego słowa, dadzą z siebie to, co uważane jest za prawdziwy talent.

I znów dowód prawdy paradoksu, oraz dowód złośliwej zemsty rzeczy abstrakcyjnych. W dawnym teatrze, tym z czasów minoderii i ruchów kratkowanego poliszynela, mimo uwagi na gest, najważniejszy nacisk kładziono na słowo. Żywe słowo. To słowo urastało do potęgi znaczenia „być, albo nie być". Aktorzy zdawali sobie sprawę z doniosłości tego, że przemawiają — do ludzi żywych, głodnych słowa, spragnionych myśli. Zdawali sobie sprawę z odpowiedzialności, jaką brali na siebie, wypowiadając — słowo. Tak, jak wszystko, co stanowiło dawny teatr, i słowo zgubiło się gdzieś po drodze. Może zawieruszyło się wtenczas, gdy niszczono rampę, może nie znajdując echa w czwartej, imaginacyjnej ścianie, padło zmęczone za kulisami. Nie wiadomo. W każdym razie przestało grać zasadniczą rolę, jaką grało wtenczas... gdy to wielkie diseusy... Tak, jak wprowadzono na scenę ulicę, tak wprowadzono na scenę język. Tak, jak wciągnięto siłą zmieszanego, opierającego się człowieka z tłumu, tak wtłoczono również w ramy sceniczne jego zwykłą, niewybredną gwarę, jego słownictwo dość ubogie, gdzie nie ma określenia na: poezja, wzniosłość, porywy... Ale winę ściągnięcia słowa z właściwej mu wyżyny przypisano natychmiast kinu. Może racja. W kinie wszystko zamknęło się w geście, w możliwościach, jakich teatr nigdy nie odda. Zresztą po co miałby oddawać? przeznaczony był przecież do czegoś innego. Poprostu zasadniczą stała się wizualność. Tymczasem to samo kino, które pierwotnie tak bezwzględnie odrzuciło słowo — nagle doszło do głosu. I w tym właśnie kryje się wspomniana złośliwość. W teatrze, skąd słowo wyszło — zgubiło się, przestano na nie zwracać uwagę. W kinie — zaprzeczenie słowa żywego, stało się dziś podstawą, nie tylko pod względem treści myśli, ale pod względem formy. Słowo, wypowiadane w kinie, musi mieć jego warunki. Musi być wizualne, musi kryć w sobie wszystkie wymiary, choćby tylko dlatego, że jest tym jedynym elementem, jaki wychodzi poza płótno ekranu. Słowo wróciło do swego znaczenia.

Publiczność nie żąda zbyt wiele. Publiczność żąda, by to samo słowo, które rozbrzmiewa w całej pełni swej dykcji z ekranu, odzyskało prawo obywatelstwa i na scenie. Nie żąda zbyt wiele. Żąda tylko sztuczności, czyli iluzji, jaką powinien jej dawać, bo na to był, na to jest i być powinien. Teatru nic nie usunie, tak, jak nie usunie aktorów, którzy zawsze przechodzić będą przez życie lat, bo siła, która ich pcha na scenę, jest wielka, i mocne, niepokonane, jej źródło. Tylko teatr trzeba uwypuklić, wydobyć w jego prawdziwej szacie i jako taki, ukazać oczekującej złudzeń publiczności.

TEODOZJA LISIEWICZ

Gdy prasa jest biedna...

Jednostronność P. A. T. uwydatnia się jaskrawo, gdy się bierze do ręki jakiś dziennik zagraniczny, oczywiście jednak nie z kraju, gdzie pisma redagują urzędnicy cenzury, ale dziennikarze autentyczni. Najbogatsza w Europie prasa angielska, dysponująca wszędzie bodaj własnymi korespondentami, zasługuje najbardziej na zaufanie, zwłaszcza, że na terenach szczególnie ważnych, jak n. p. dziś w Hiszpanii, lub na Dalekim Wschodzie, korespondenci tego samego dziennika siedzą po obu stronach linij bojowych i obu partiom w ręce zaglądają, nie zadowalając się suchemi tylko biuletynami. Prasa angielska jest dziś nawet na tyle jeszcze silna, że mimo wszelkich ograniczeń cenzuralnych korespondentowi angielskiemu wolno stosunkowo dużo, chociaż w delikatnej formie, pisać i depeszować nawet z... Niemiec. Represje stosuje się tylko do wydrukowanego już dziennika, który bywa po przekroczeniu granicy konfiskowany, aby „poddani" — jak Niemcy oficjalnie zostali nazwani — prawdy o sobie się nie dowiedzieli.

Poniżej zamieszczamy kilka informacyj, zaczerpniętych nie z prasy folksfrontowej, ale z konserwatywnych i rządowych dzienników angielskich „Timesów" i „Daily Telegraphu" z datą 8. 4. Wybieramy jeden dzień. Chodzi o naoczne stwierdzenie, co PAT uważa za produkt dla czytelnika polskiego nieodpowiedni.

Z „Timesów", których właściciele pozostają nie tylko w bliskim kontakcie z ministrem spraw zagranicznych lordem Halifaxem, ale także z pewnymi czynnikami Trzeciej Rzeszy, dowiedziałem się, że „atmosfera we Wiedniu jest mniej entuzjastyczna, niż w opisach prasy hitlrowskiej. Propaganda hitlerowska jest zręczna, ale zarządzenia narodowego socjalizmu nie są bardzo przestrzegane, a prawie powszechna odznaka swastyki powinna być traktowana jako „szpilka bezpieczeństwa". Pismo donosi o konfiskacie wszystkich dzienników zagranicznych, o różnych środkach ostrożności, o transportowaniu więźniów do niemieckich obozów koncentracyjnych i o specjalnej tajemniczości, jaką otacza się każdy krok Hitlera i jego plany na najbliższe godziny.

„Daily Telegraph" wyjaśnia tę zagadkę. Pojawiły się bowiem paszkwile komunistyczne, wymierzone przeciw Hitlerowi, a władzom chodzi o zamaskowanie ruchów kanclerza, aby z chwilą wjazdu do nowego miasta znowu go nie powitały paszkwile. Jeszcze ciekawszą jest inna informacja korespondenta „Daily Telegraph". Redaktorów wszystkich diecezjalnych pism katolickich w całej Rzeszy wezwano, by zamieścili pismo kardynała Innitzera z dnia 1 kwietnia, zakończone sławetnym „Heil Hitler", o ile chcą wogóle dalej się ukazywać. Żądanie jasne i wymowne, o czem czytelnicy prasy polskiej pojęcia nie mają. Natomiast agencja Paplająca A Totumfacka w Berlinie i silnie z Deutsches Nachrichten Büro skumana doniosła w dniach następnych dwukrotnie o dwu czasopismach katolickich, które ten apel ogłosiły. Wiadomość była więc podwójnie fałszywa. W błąd wprowadzono czytelnika polskiego, insynuując mu, jakoby czasopisma te uczyniły to z własnej woli, w wyniku głębokiego przekonania, a drugi fałsz jest ten, że wszak w Niemczech wychodzi więcej czasopism, niż dwa. Jak one postąpiły i co się z nimi stało, byłoby interesującym się dowiedzieć, ale trzeba będzie znowu czekać na prasę zagraniczną.

Żałować też wypada, że nie otrzymaliśmy w sobotę arcyciekawej mowy Goeringa, w której historyk znajdzie nowe fakty do zrozumienia ostatnich wydarzeń. Goering oznajmił bowiem, że niemiecka armia została dlatego tylko zmobilizowana w ciągu 24 godzin i do Wiednia wkroczyła, gdyż do Berlina nadszedł meldunek o uzbrajaniu komunistów przez burmistrza Wiednia Schmidta. Historycy powinni przechować numer „Timesów" z tym tekstem, aby potem nie ględzić, że zawinił Schuschnigg i zarządzenie przez niego plebiscytu. Przyszłym historykom nie powinna też ujść uwadze inna rewelacja Goeringa, a mianowicie, że w Austrii Schuschnigga stosowano średniowieczne metody tortur, przypalając więźniom hitlerowskim żebra rozpalonymi do czerwoności żelazkami. Mielibyśmy pełne prawo — ciągnął dalej groźnie feldmarszałek — mścić się na tym narodzie, ale łaskawość promieniująca z Führera... itd. Dość. Historyk niech kupi sam gazetę i podziwia wielkoduszność Goeringa.

Kilkanaście innych ciekawych wypadków i szczegółów, zarejestrowanych przez dzienniki angielskie, a przed polskim czytelnikiem zatuszowanych, pomijam.

Chciałbym jeszcze kilka słów poświęcić sytuacji hiszpańskiej. Miasto Tortosa na szlaku Barcelona — Walencja, które według sławetnego gen. Queippo de Llano, pęczniejącego mądrością radiostacji berlińskiej Ikaca oraz Pajaca A Trzpiota zostało zdobyte jeszcze przed tygodniem, owgo 8 kwietnia, według dzienników angielskich, była jeszcze oddalona o 18 mil angielskich od frontu. Tytuł depesz hiszpańskich w konserwatywnym „Daily Telegraph" brzmiał: Armia Franca natrafia na silny opór. Jeszcze 25 mil od Morza Śródziemnego. Ciężkie straty wśród Włochów. — Nawiasem zaznaczam, że prasa angielska nie owija wielu faktów w bawełnę. Pisze się więc, że na Tortosę nacierają wojska włoskie, że są one co dwa dni luzowane, że walki trwają już 23 dzień i że „na szczęście" niema na tym odcinku Murzynów. Włosi czekają bowiem na nadejście odpowiedniej ilości tanków i broni pancernej, któraby im dopiero utorowała drogę. Narazie włoskie samoloty z Majorki przynoszą w prezencie bomby. Korespondent natrafił też na francuskie samochody ciężarowe. Jechały one szosą w stronę Walencji po pomarańcze dla smakoszów francuskich. Równocześnie w tym samym piśmie korespondent, umieszczony przy sztabie gen. Franco, telefonuje, że wojska jego zdobyły jedną z sześciu szos, jakie prowadzą z Katalonii do Francji. Jedną z sześciu. Z depesz polskich napewno nikt by czegoś podobnego nie przepuszczał.

Ale weźmy do ręki „Times". Może tam znajdziemy coś na pocieszenie naszych ultra nacjonalistów. — Owszem. Jest wiadomość z Barcelony: „Zaciąg ochotników trwa". A dalej mowa o tem, że zrezygnowano z mobilizowania trzech kontyngentów rezerwistów w wieku od 20 do 33 lat, gdyż związki zawodowe wyraziły gotowość nakłonienia swoich członków, aby natychmiast pospieszyli pod broń. Wszędzie widać napisy „śmierć zdrajcom!". Pracownicy przedsiębiorstw gastronomicznych też chwytają za karabiny, a we wszystkich restauracjach postanowiono podawać tylko jednodaniowe potrawy, aby wszyscy byli szybko i jednakowo obsłużeni.

Mógłbym jeszcze zacytować szereg innych wiadomości — wyłączając informacje socjalistycznego „Daily Heraldu" i pomijając relacje tychże dzienników z innych dni o doskonałym morale armii barcelońskiej. Ale i to wystarczy. Widać, że nie wszędzie czytelnicy dostają Pata. Pajace Arbitralnie Tresowane mogą tam tylko objawiać swoją potęgę, gdzie prasa jest biedna i nie może pozwolić sobie codziennie na kilkusetwierszowe własne relacje z całego świata.

—o—

OD ADMINISTRACJI.

Prenumeratorów naszych prosimy o wyraźne i czytelne podawanie nazwiska i adresu, ułatwia to bowiem w dużym stopniu wysyłkę pisma.

W razie nieotrzymania pisma w terminie, prosimy reklamować w odnośnym Urzędzie Pocztowym, ponieważ Administracja wysyła pismo punktualnie i do wszystkich Prenumeratorów.

KRYSTYNA OPPENAUER

Współczesna historiografia niemiecka

Wszyscy jesteśmy świadomi tego, że żyjemy w epoce przełomowej, epoce rozgraniczającej dwa rozdziały dziejów ludzkości. Jesteśmy w okresie załamywania się wszelkich kryteriów, szukania nowych dróg. Rozlegają się głosy wróżące wkrótce nowe średniowiecze, a więc jakiś wielki kataklizm dziejowy. Okresy niepokoju, wielkich przemian, wpływają ujemnie na rozwój nauki, którą się wówczas odrzuca, staje się niepotrzebną, patrzymy na nią niemal jak na dziecinną zabawkę. A z pośród nauk historia przestaje być dążeniem do odkrywania prawdy życia, staje zaś na usługach systemów, podporządkowuje się tej czy innej doktrynie.

Silnie uwypukla się to w historiografii państw totalnych. We Włoszech Gentile, w Sowietach zmarły niedawno Pokrowskij i cała plejada badaczy jak: Petruszewskij, Morozow, Ljubomirow, Okuń, Archangelskij, Dranicyn, Leontief, i w. in. dostosowują dzieje — nietylko własnych narodów, ale dzieje ludzkości — do wymagań wszechwładnego reżimu. To samo obserwujemy w współczesnej historii niemieckiej. Dostosowuje się, a raczej przerabia historię nietylko dla celów wyłącznie dydaktycznych, szkolnych. Znajdujemy bowiem także tendencję w prasach naukowych, owo piętno czasu, charakterystyczne dla niemieckiej współczesności.

Mit rasy panuje wszechwładnie. Chcieliby się uwolnić współcześni Niemcy od wszelkich wpływów obcych, a w każdym razie od przyznawania się do tych wpływów. Negują wpływ kulturalny starożytnego Rzymu, twierdzą, że wyższość kulturalna Germanów wzięła górę nad starą rzymską kulturą i pod naporem tej pierwszej musiał runąć świat antyczny. A choć dotychczas szczycono się władzą cesarzy średniowiecznych, którzy przejęli ją od cesarzy wschodnio-rzymskich, a widomym znakiem tego miała być święta włócznia, symbol władztwa, koncepcję zaś uniwersalizmu cesarstwa przejęło właśnie z Bizancjum, — dziś w długich i żmudnych traktatach wykazuje się, że owa włócznia, to znak władztwa, ale ojca germańskich bogów — Odina. (O. Höfler: Das germanische kontinunitätsproblem, Historische Zeitschrift, Bd. 157, H. l. 1937).

Historyczna nazwa „Heiliges Römisches Reich Deutscher Nation" jest ulubionym tematem intepretacji, przy czym podkreśla się ową niemieckość nacji, neguje rzymskość cesarstwa. Wykazuje się, jak silne i jak wcześnie rozwinięte było poczucie narodowe wśród Niemców. (A. Diehl: Heiliges Römisches Reich Deutscher Nation, Hist. Zeitschr. Bd. 156, H. 3. 1937). „Volk jest bogiem, panem świata, twórcą dziejów" (H. Oppermann: Volk, Geschichte, Dichtung, Hist. Zeitschr. Bd. 156, H. 1. 1937). Tkwią w nim jedynie zdrowe instynkty społeczne, geniusz rasy. Na tym tle przedstawia się okres reformacji, jako zdrowy bunt mas ludowych przeciwko zmurszałemu, zepsutemu porządkowi świata.

Również kwestia żydowska znajduje oddźwięk w nauce (W. Grau: Geschichte der Judenfrage, Hist. Zeitschr. Bd. 156, H. 2. 1937; J. Heckel: Der Einbruch des jüdischen Geistes in das deutsche Staats- und Kirchenrecht durch F. J. Stahl, Hist. Zeitschr. Bd. 155, H. 3, 1937 etc.). Projekt Anschlussu nie był też obojętny, jeszcze przed jego zrealizowaniem. Rozprawka O. Meyera: „Der Streit um Metternich" (Hist. Zeitschr. Bd. 157, H. 1. 1937) przedstawiająca różnostronną ocenę postaci wielkiego kanclerza, wykazuje, że mimo tak szczegółowych opracowań, nie postawiono dotychczas w stosunku do jego postaci najbardziej zasadniczego pytania: jaki był stosunek Metternicha do kwestii związku wszystkich Niemców? — Oto rozwiązanie autora: „Metternich sah im Bunde die dem deutschen Volke natürliche und heilsame Lebensform, zugleich eine Friedensbürgschaft für Europa eine übernationale Notwendigkeit".

Przykłady powyższe dałyby się mnożyć w nieskończoność. Ograniczyliśmy się tylko do tych, które przewijają się na łamach jednego z czołowych niemieckich czasopism historycznych — „Historische Zeitschrift".

A w tej jednostroności sądów jest literatura historyczna bezkompromisowa, skrajna. Odwraca dowolnie obraz historyczny, zna tylko własną prawdę, gardzi prawdą innych. Służy wymogom chwili, narodowej bucie, wychowuje Niemców w atmosferze megalomanii, w poczuciu ich wyjątkowości. Mimo jednak tendencyjności literatury, ma też niemiecka nauka duże zasługi, jeśli chodzi o publikację źródeł. I choć uderzają w mocarstwowy ton, choć naginają i naciągają historię, a tym samym ją zakłamują, zdobywają się Niemcy na odwagę przyznania się do tego. Piszą w myśl życzeń Hitlera i to otwarcie stwierdzają, powołując się na jego opinię o roli nauki historycznej.

My osądzamy to tylko jako upadek wiedzy, a może to tylko nowa, stosowana nauka i ta właśnie wszechwładnie zapanuje? — Bo pochód życia, zły czy dobry, jest przecież silniejszy od najszczytniejszych nawet haseł.

——o——

Zamiast przeglądu prasy

czyli o koniach, krowach i żabach.

Zamiast przeglądu prasy politycznej, tym razem, wyjątkowo, trzy wycinki z prasy fachowej:

Zazdrosne konie

Zdarzają się konie tak zazdrosne o swoją dawkę paszy, że w ciągłej obawie, aby im jej towarzysz nie zjadł, rozglądają się niespokojnie na wszystkie strony, parskają, zanurzają pysk łapczywie w żłób, a potem w zawistnym gniewie wyrzucają karmę na ziemię. Następstwa tego brzydkiego narowu są takie, że pasza niszczy się pod nogami, koń jest głodny i chudy, a gospodarz traci, bo koń nie ma sił do pracy.

Aby konia od tej wady odzwyczaić, jeden z rolników zastosował taki prosty sposób. Każdym razem, gdy zadawał do żłobu paszę, kładł z nią równocześnie w żłób okrągły kamień wielkości pięści ludzkiej. Otóż gdy koń pysk w paszę zanurzył, okrągły kamień toczył mu się za każdym ruchem naokoło pyska. Koń lękający się wciąż, że mu ktoś pożywienie zabierze — uważał ów kamień także za wroga, który chce go jej pozbawić. Śpieszył się więc, by zjeść wszystko jak najprędzej i nie podnosił głowy od żłobu, dopóki nie zjadł wszystkiego do szczętu. Tym prostym sposobem poprawił sobie gospodarz wygląd konia, a pasza nie marnowała się pod nogami.

„Wzorowa Zagroda"
Nr. 13. — 3. IV. 1938.

Rasowe krowy

...Rasa, tak ceniona przez znawców i hodowców, to jednak nie tylko to, co podpada pod wrażenie wzroku. Za samą piękność, czy harmonię (proporcjonalność) kształtów nawet u konia nie płacilibyśmy tak wiele, a tym bardziej mniej cenilibyśmy to u krowy, którą jeszcze dotychczas nie paradujemy w zaprzęgach, nie jeździmy jeszcze do ślubu, czy w odwiedziny... Przez odpowiednie żywienie, ćwiczenie młodzieży i pielęgnację sztuk dojrzałych osiągnięto w pogłowiu jednej rasy to, że obora krów rasowych jest nieraz tak wyrównaną, to znaczy wszystkie krowy są w niej tak podobne jedne do drugich, że obcemu trudno nieraz rozpoznać jedną sztukę od drugiej. Ale hodowcy, ci rzetelni, zamiłowani w swej pracy twórczej, dbali nie tylko o wygląd zewnętrzny, ale i o wydajność mleka, o rozwój narządów trawienia, o dobrą budowę kostną, o dobry tłuszcz w mleku, o łagodne usposobienie sztuk hodowlanych i wszelkie inne cenne przedmioty... itd. Ale przyroda ma dążność do powrotu do równowagi czynników żywotnych zwierzęcia.

...pracę hodowlaną twórczą, obliczoną na dziesiątki i nawet setki lat muszą prowadzić hodowcy uświadomieni... Rasa bydła... to nie kryształ diamentu, który raz uformowany trwa setki lat bez zmian...

„Wiadomości Rolnicze"
Nr. 44, z 14 list. 1937.

Czy mózg jest potrzebny

...pozbawiona mózgu żaba zachowuje się znacznie bardziej „życiowo", niż żaba normalna. Mianowicie żaba pozbawiona mózgu, nie troszcząc się o nic, łapała jedną muchę po drugiej, podczas gdy żaba normalna, widocznie zaniepokojona swem uwięzieniem, traciła niepotrzebnie czas na medytowanie, jak się z pod klosza wydostać, pozostawiając swej żarłocznej koleżance troskę chwytania i połykania smacznych much. Żaba mądra, posiadająca pełnię władz umysłowych myśli, medytuje, filozofuje, jak się z pod klosza wydostać i... głoduje. Żaba posiadająca natomiast mniej tkanki nerwowej, nie zdaje sobie zupełnie sprawy z tego rodzaju problemów intelektualnych czy filozoficznych. Bierze życie tak, jakiem ono w danej chwili jest i zadowala się łapaniem much, tj. gromadzeniem materjalnego dobra... Człowiek mniej mądry, pracujący „mniejszą ilością kory mózgowej" nie jest tak ostrożnym i rozważnym, nie przewiduje tylu rozmaitych możliwości i nie obawia się tylu różnych ewentualności. Widzi on przed sobą tylko jeden cel, jedną możliwość sukcesu i drugą-porażki. Decyzja jest u niego znacznie szybsza i łatwiejsza i dlatego udaje mu się w lot uchwycić nadarzającą się i przemijającą okazję zyskownej tranzakcji... O materialnym powodzeniu w życiu decyduje nie mądrość i inteligencja.

(Kurier Lekarski, dodatek do IKC z 24 marca 1938).

Prawda, jak to dobrze oderwać się raz od polityki i czytać o zwierzętach oraz ludziach z nadwerężonym mózgiem... Nawet komentarzy do nich nie trzeba. Wszystko jest zrozumiałe.

——o——

KRONIKA LEGIONOWO-PEOWIACKA

Związek Legionistów

Oddział Zw. L. P. — Brzozów

W dniu 24 marca Zarząd Oddziału Zw. Leg. Pol. w Brzozowie przejął oficjalnie opiekę nad szkołą w Izdebkach. Przy tej okazji rozdano dzieciom cukier, kawę, 25 zł gotówką i kilkanaście książek do czytania.

P. Dyr. Mateusz zgromadził dzieci w jednej ubikacji przy współudziale całego grona i przemówił do nich, przedstawiając Ob. Prezesa, wytłumaczył po co przyjechał i z czyjego ramienia.

Z kolei zabrał głos Ob. Prezes Schmidt, wytłumaczył co to jest Związek Legionistów, na czym będzie polegała opieka nad nimi i czego będzie od nich za to żądał a mianowicie, aby każde było pilnym, grzecznym i dobrym Polakiem. Nadmienił, że na drugi raz przyjedzie z jednym panem, który im dokładnie opowie o dziejach i powstaniu Legionistów. Zachęcił do czytania książek, a widząc, że przywiezione sprawiły im wielką radość i uciechę, obiecał dostarczyć więcej w miarę możności.

W końcu przeprowadził Ob. Prezes rozmowy z gronem w sprawie sposobu i metod tyczących się opieki, a decyzję konkretną pozostawiono do omówienia z Komitetem Rodzicielskim.

Oddział Zw. L. Pol. — Jarosław

Oddział Związku Legionistów Polskich w Jarosławiu roztoczył opiekę nad szkołami we wsiach Wietlin i Drezinie, pow. Jarosław.

Poza tym Zarząd Oddziału rozpoczął prace nad urządzeniem wystawy przemysłowo-handlowej w Jarosławiu, z której dochód zostanie przeznaczony na remont szkoły wiejskiej w Drezinie. Dochód ten, według wstępnych kalkulacyj, powinien przekroczyć kwotę 500 zł.

Oddział Zw. Leg. Pol. — Lesko

W dniu 20 marca br. pod przewodnictwem prezesa ob. Kaz. Piotrowskiego odbyło się Informacyjne Zebranie członków Oddziału Lesko. Po odczytaniu i przedyskutowaniu Rozkazów Komendy Naczelnej Zw. Leg. Pol. i Zarządu Okręgu Zw. Leg.

Pol. we Lwowie, uchwalono przystąpić gremialnie do miejscowego Oddziału O. Z. N. i w tym celu zebrano podpisane deklaracje. Następnie uchwalono objąć pod opiekę szkołę powszechną w Dźwiniaczu Dolnym. Po zamknięciu Zebrania, delegacja Oddziału Zw. Leg. Pol. z prezesem na czele udała się na odbywający się w Lesku — Powiatowy Zjazd Związku Szlachty Zagrodowej.

Oddział Zw. Leg. Pol. — Lwów

poszukuje adresów następujących swoich byłych członków i uprasza Kolegów o zapodanie adresów poszukiwanych Legionistów Zarządowi Oddziału we Lwowie, ul. Jabłonowskich 11:

Miś Franciszek, przedtem Kraków, Prochowa 4.
Młodnicki Stanisław, przedtem Brody.
Schollenberger Marian, dawniej Rawa Ruska.
Wojtaś Leon, dawniej Borysław.
Pieprzny Jan, dawniej Lwów, pl. Smolki 2.
Herzig Włodzimierz, dawniej Warszawa.
Żydło Kazimierz, dawniej Wilno.
Trojnar Michał, dawniej Lwów, ul. Sapiehy 24.
Janz Rudolf, dawniej Lwów.
Pietruski Robert, dawniej Lwów.
Karpiński Jan, dawniej Lwów, Marcina 26.
Lesek Stanisław, dawniej Lwów-Kleparów.
Poper Rudolf, dawniej Warszawa.

Oddz. Z. L. P. — Rawa Ruska

Na odbytym Koleżeńskim Zebraniu Informacyjnym w dniu 20 marca br. uchwalono jednogłośnie objąć jedną ze szkół w powiecie w opiekę. Wybór padł na szkołę w Jasionówce ad Szczerzec k. Niemirowa i na ten cel wszyscy koledzy tut. Oddziału ofiarowali ½ % od swoich poborów brutto.

W dniu 27 marca br. wyjechali do Jasionówki prezes Oddziału Zw. Leg. Pol. w Rawie Ruskiej ob. Domiczek Julian, sekretarz Oddziału ob. Ślepokura Józef, oraz inspektor szkolny p. mgr Trojanowski, na uroczysty akt objęcia szkoły pod swoją opiekę.

Na uroczystość tę przybył również ks. Chomicki Jarosław, katecheta z Niemirowa. Do licznie zebranej dziatwy szkolnej, oraz ich rodziców, przemówił ob. prezes, następnie w pięknych słowach podkreślił znaczenie opieki p. insp. mgr Trojanowski, w końcu zabrał głos ks. katecheta, który w podniosłych słowach zaznaczył polskość Jasionówki i pobłogosławił zbożnej pracy Związku Legionistów Polskich.

Kończąc, wzniósł okrzyk na cześć Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Ignacego Mościckiego, oraz Pana Marszałka Rydza-Śmigłego, który zebrani 3-krotnie powtórzyli, a dzieci szkolne zaintonowały Pierwszą Brygadę.

Niespodzianką dla wszystkich było wystąpienie jednej z uczenic, oraz przedstawiciela tamt. włościan, którzy w krótkich lecz z serca płynących słowach podziękowali za roztoczoną opiekę nad ich szkołą, obiecując w zamian za to pracę dla powiększenia chwały Ojczyzny.

Miejscowa kierowniczka szkoły rozdała między dzieci szkolne przywiezione upominki oraz wiele słodyczy.

Na zakończenie podnieść i podkreślić należy uznanie dla p. Kazimiery Hemmerling za tak piękne w duchu patriotycznym wychowanie dzieci.

W najbliższym czasie ofiaruje Oddział dla szkoły piękny aparat radiowy 3-lampowy.

Oddział Zw. Leg. Pol. — Sanok

Zarząd Oddziału Związku Legionistów Polskich w Sanoku w porozumieniu z miejscowym inspektorem szkolnym objął opiekę nad szkołą powszechną w Mymoniu i Łodzinie. Obie szkoły są szkołami jednoklasowymi o niezamożnej dziatwie. Opieka i pomoc Oddziału przyniesie niewątpliwie duże korzyści uczącej się młodzieży.



Dziatwa szkolna w Izdebkach, wzięta w opiekę przez Oddział Zw. Leg. Polskich w Brzozowie.

Oddz. Z. L. P. — Zimna Woda

W dniu 13 marca 1938 r. Oddział Zw. Leg. Pol. w Zimnej Wodzie przejął oficjalnie w opiekę miejscową szkołę powszechną.

W zebraniu wzięli udział: wójt gminy inż. Garwoliński, sołtys Zieliński, członkowie miejscowego Oddziału Zw. Leg. Pol., członkowie Koła Rodzicielskiego przy szkole powszechnej w Zimnej Wodzie, miejscowe grono nauczycielskie, delegat z Konopnicy.

Zebranie zagaił prezes Koła Rodzicielskiego p. Wilczek Marcin, odczytując wspólny komunikat w sprawie objęcia w opiekę tut. szkoły przez Oddział Zw. Leg. Pol. Komunikat stwierdza konieczność tej akcji w terenie dla wzmocnienia polskiego stanu posiadania, dla dodania otuchy nauczycielstwu w walce o polską szkołę i uzyskania dla niej pewnej możliwej pomocy, którąby umożliwiła jej normalną pracę i rozwój. Widzi, że akcja ta może dla tut. szkoły zumieniu tej akcji bierze miejscową szkołę w swoją opiekę. Zdając sobie sprawę z ogromnych potrzeb szkoły. Oddział miał pewne skrupuły, czy podoła temu zadaniu, które przyjmuje na siebie, ale wiąże go ze szkołą wiele wspólnych zainteresowań i wspólnych prac. W pierwszym rzędzie miano szkoły **Marszałka**, następnie staraniem Oddziału stoi pomnik **I-go Marszałka Polski** w parku szkolnym, oddany dziatwie szkolnej w opiekę, dalej osoba Kierownika szkoły legionisty, oraz szereg członków Oddziału, pracujących w Kole Rodzicielskim. Rozumie, że przy tak pięknie rozwiniętej pracy miejscowego Koła Rodzicielskiego a dużych potrzebach szkoły, pomoc finansowa samego Oddziału nie będzie iść w parze z tymi potrzebami, ale sądzi, że przy poparciu wyższych władz Związku Leg. Pol. we Lwowie pomoc ta jednak może być wydatna.

Aby w tej akcji nie pozostawić na uboczu innych szkół w tut. gminie, p. Przystajko proponuje objęcie wspólnie z Kołem Rodzicielskim w Zimnej Wodzie opieki nad szkołą w Konopnicy. Pomoc ta polegałaby w pierwszym rzędzie na zorganizowaniu tam Koła Rodzicielskiego, a następnie na daniu mu materialnej i moralnej pomocy.

W końcu podkreśla, że Oddział poświęci dużo wysiłku, ażeby poza pomocą moralną służyć szkole pomocą materialną w granicach swych możliwości.

W dalszych przemówieniach zabrał głos wójt gminy inż. Garwoliński, wyrażając radość, że akcja na rzecz szkoły została przez Związek Leg. Pol. podjęta i widzi w niej wielką pomoc dla prac, jakie ma w swoim programie przewidziany Zarząd Gminy.

Kierownik szkoły p. Jarosz Kazimierz dziękuje przedmówcom za wysunięcie tak wzniosłych myśli. Wie, że bez pomocy społeczeństwa praca szkoły byłaby utrudniona i prosi o rozwinięcie tej opieki przy pomocy i poparciu Okręgu Zw. Leg. Pol. we Lwowie dla spełnienia tych zadań, jakie sobie akcja zakreśliła.

Po wyrażeniu jednomyślnej zgody na powziętą decyzję nastąpiło odczytanie i podpisanie wspólnego aktu.

wiele zdziałać, dlatego też ją gorąco popiera.

Następnie przemówił prezes miejscowego Oddziału Zw. Leg. Pol. p. Przystajko Kazimierz, podnosząc, że zgodnie z apelem gen. Karaszewicz-Tokarzewskiego, który pielęgnowanie szkół polskich uznał za sprawę pierwszorzędnej wagi dla podniesienia polskości w naszej dzielnicy, Oddział Zw. Leg. Pol. w Zimnej Wodzie w pełnym zro-

* * *

Związek Peowiaków

Zebranie organizacyjne Związku Peowiaków w Przemyślu

Dnia 27 marca br. odbyło się Zebranie Organizacyjne Związku b. Peowiaków z terenu przemyskiego, na którym wybrano Zarząd w następującym składzie:

Prezes: ob. Wojas Jan,
Viceprezes: ob. Nestor Franciszek,
Sekretarz: ob. Zeńko Bolesław,
Skarbnik: ob. Draganowski Stanisław,
Członkowie Zarządu: ob. Pisarski Feliks i ob. Piwiński Stanisław,
Zastępcy: ob. Gadziński Eugeniusz i ob. Purzyński Seweryn,
Komisja Rewizyjna: ob. Szłapa Leszek, ob. Dengler Edward, ob. dr Kreicarek Szczepan i ob. inż. Popek Wincenty.

Zebranie zakończono okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Pana Prezydenta Prof. Ignacego Mościckiego i Naczelnego Wodza Marszałka Śmigłego-Rydza.

—o—

KOMUNIKATY

Zbiórka na Dar Narodowy 3-go Maja dla T. S. L.

Ministerstwo Spraw Wewnętrznych zezwoliło wyłącznie Towarzystwu Szkoły Ludowej na zbiórkę w 2 dniach od 2 do 10 maja br. na terenie Województwa Krakowskiego, Lwowskiego, Stanisławowskiego i Tarnopolskiego. Zarząd Główny Towarzystwa Szkoły Ludowej przystąpił w związku z tym do przygotowania szczegółowego planu zbiórki.

Zbiórka T. S. L. na Dar Narodowy 3-go Maja stanowi podstawę dla prac kulturalno-oświatowych Towarzystwa, odbywa się corocznie od kilkudziesięciu lat wśród naszego społeczeństwa, które stale obserwuje postępy i wyniki pracy T. S. L. na niwie społecznej i cieszy się zasłużoną popularnością.

—o—

Warunki prenumeraty: Kwartalnie 1·50 zł. — Półrocznie 3·— zł. — Rocznie 6·— zł. Cena ogłoszeń: cała strona 500 zł., pół strony 300 zł. ćwierć strony 150 zł., za wiersz milimetrowy jednej szpalty 25 gr., w tekście o 50% drożej.

Wydawca: Zarząd Okręgu Związku Legionistów Pol. we Lwowie. Redaguje: Komitet. Redaktor odpowiedzialny: Kazimierz Bogdanowicz

Drukarnia: „Związkowe Zakłady Graficzne“, Spółdzielnia z odpow. udział., Lwów, ul. Piekarska 18 — Telefon Nr. 290-05.